

Dziś w numerze: Łódzka Rada Delegatów Robotniczych • Historycy radzieccy w 50 rocznicę Rewolucji • Lenin dał poparcie • Łódzka rusycystyka • Mistrzowie z Palecha • List z Budapesztu • Recenzje • Felietony

odgłosy



Nr 44 (458)
5. XI. 1967 r.
16 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK X



Fot. Ludmila Jabłńska

Dwa dwudziestolecia

**Z recepcji
literatury
radzieckiej
w Polsce**

FRAGMENTY-DYSKUSJI

JAN KOPROWSKI: W dyskusji naszej chodzi o porównanie zainteresowania literaturą radziecką w okresie dwudziestolecia międzywojennego i po ostatniej wojnie. Wiemy, że dziś wiele wydawnictw i instytucji zainteresowanych jest tym, by literaturę radziecką wydawać i propagować. Przed wojną były to raczej przedsięwzięcia prywatne, ale z doświadczeń kolegów starszych wiadomo nam, że zainteresowanie literaturą radziecką istniało i podejmowano wiele cennych inicjatyw wydawniczych. Wydawano Szolochowa i Erenburga, Iwanowa i Zoszenkę, Ilfa i Pietrowa i Aleksiego Tolstoja. Zaprosiliśmy tu prof. Bolesława Lewickiego i Karola Baranieckiego — byłych lwowian, Jana Huszcze — byłego wilnianina, Mariana Piechała jako przedstawiciela, żeby

tak rzec, centralnej Polski. Chodziłoby nam o to, aby Koledzy zechcieli skonfrontować swoje osobiste doświadczenia i obserwacje, i byśmy mogli wytworzyć sobie jakiś obraz porównawczy recepcji tej literatury w obu dwudziestolciach.

BOLESŁAW LEWICKI: Mnie się wydaje, że na wstępie naszej dzisiejszej rozmowy, należy parę słów powiedzieć o „kultur-bolszewizmie”, jak to wówczas nazywano. Na tym właśnie „kultur-bolszewizm” rosła polska rewolucja. Przed wojną byłem członkiem PPS. Dla mojego pokolenia słowa Magnitogorsk, Komsomolsk miały wielką wagę. Za każdą rzecz, która szła ze Związku Radzieckiego (śledzi miałem 20 lat), gotów byłem walczyć. Ci zwolennicy „kultur-bolszewizmu” to byli często ludzie, którzy później do żadnej partii się nie zgłosili. A więc była moda na Sowiety, która doprowadziła do tego, że literatura radziecka miała kolosalny popyt. Czytaliśmy „Trzy pary jedwabnych pończoch”, wobec których utwory naszej Barbary Gordon są arcydziełami. Ale czytaliśmy radzieckie rzeczy, ponieważ byliśmy ich ciekawi. Co więcej, w Kasyńce Literackim mieliśmy dyskusje na temat „Trzech par jedwabnych pończoch”. Dyskusji tej poświęcono parę kolumn na łamach literackich pism Lwowa. Powodzenie lite-

Dalszy ciąg na str. 6

WŁADYMIER ŁUGOWSKI

Błękitna wiosna

Na trzeciej półce w kiepskim wagonie podgławszy nogi
Jechać, jechać, jechać przedwiośnią błękitnym!
Wybite szyby na ostatnim odcinku drogi
Chodzi po wagonie zapach podorywki.
Wybite szyby przez buszujące bandy
Postrzelali, zapadli w zamglone zagaje.
Czy ta zbrojna banda — latorośl Ententy,
Czy po prostu parobczaki nudę rozpraszają?
Mileżą i palą tytoń bywałe matrosy,
Uciekinierzy z miasta, obwiesie, szmuglerzy...
A modry, modry wiatr kładzie się na przytorzu,
A lazurowa wiosna przez świat na przestrzał bieży.
Ojczyzna, wszystkaś w drodze — Rusi, Ukraino —
W tym bezgranicznym, pogranicznym milczeniu!
Twoje rzeki są z nieba, niebieskie doliny
W puszczy briańskich i głuchowskich potracone cieniach.
Oto brzoź kędzierzawo-gwiazdzone tumany,
Oto polany modrych, przemodrych mioduszek,
Drewna niemota leśnego oceanu,
Ptaków powracających fujarki pastusze...
Przez jakieśmy te republiki przejeżdżali,
Jakie tu ministeria rządziły i armie —
Nie wiem, lecz coraz pewniej władzę w garście brali
Zacięci,
podnieceni,
bezsenni,
uparci.
A władze były młode, młode, bez rutyny...
Z jaką tam Europą — sprawa szła z hulastrą!
Szajki, bałki, bandziory ściągali daniny
Z państw dwudniowych, szaszkami
w galopadzie chlaszcząc...
Może by się rozpadło wszystko w proch i zgłiszczce,
Może i Jego głowa spadłaby daremnie,
Lecz jak ongi jednocył Kreml ziemie ojczyste,
Ruś podartą scalała znów Białokamienna.
Toczyło się „Jabłoczek” od krańca po kraniec,
Biegło po koleinach śmierci i cierpienia —
Wiatr bezpański gnał owo jabłuszko rumiane...
Aż pieśń go wyręczyła „Powstań ludu ziemi”...
Wiosna taka niebieska, taka niebieska, aż sina,
Z kluczami dzikich gęsi, w płasie kotków brzoźowych.
Wyjrzała krasawica z lasu, szła przy szynach.
Oczy — chabry pod żytem i wiatr wokół głowy...
Ziemio moja, miła moja, porąbana pałasami,
Umęczona, strutowana, skrwawiona dziedziń,
Ze zgorzałymi wioskami, z rozmięcionymi stogami,
Z bełkoczącym na dróże koślawym starowiną!...
Ostre oczy zmrużywszy siadł przy stacji nadawczej
Znający prawa dziejów, ironiczny, surowy...
Przešla mostów dygoczą pod wojennym żelastwem...
Młode Węgry Sowieckie zadławia arkan zwojów,
Jeszcze Kołczak naciera, jeszcze bruździ Denikin,
Jeszcze leje krew wojna Rosji białej z Radziecką,
Lecz tam, gdzie wnet wyrosną nowe miasta — pomniki,
Szafuje cudnościami wiosna złoto-niebieska...
Oto idzie krasawica, idzie i lekko dyszy
W migoście żółtych brzezin, w krwawych ognisk pazurach.
Leśne morze
ciężkimi
grywiszczami
kołysze
I pociąg
dudniąc zgrzyta
na drogach wichury.

1957

Przełożył: TADEUSZ CHROSCIELEWSKI



I znów na Bliskim Wschodzie zarysował się niebezpieczny wzrost napięcia. Wtargnięcie na wody terytorialne ZRA izraelskiego niszczyciela „Eilat”, a następnie jego zatopienie przez pociski rakietowe, brutalna riposta Izraela: ostrzelanie przedmieść Suez oraz rafinerii naftowych, co spowodowało straty w ludziach oraz materialne, szacowane na ok. 70 mln funtów egipskich, zwolnienie Rady Bezpieczeństwa, jej gwałtowny przebieg i bardzo umiarkowana rezolucja — oto najważniejsze wydarzenia ostatnich dni w rejonie bliskowschodnim. Im też poświęcimy dziś kilka uwag.

Przedłużające się poszukiwanie politycznego rozwiązania konfliktu, do czego w ostatnim okresie wykorzystywano kuluarowe rozmowy w ONZ, zakończone zostało wspomnianym incydentem „Eilat”. Wykazał on: PO PIERWSZE, że Izrael nie rezygnuje z otwartych prowokacji, a więc, że nadal istnieje groźba konfliktu militarnego, PO DRUGIE, że siły zbrojne ZRA są w stanie skutecznie przeciwstawić się tym prowokacjom, PO TRZECIE, że pod presją wydarzeń można włączyć do ich rozstrzygnięcia Radę Bezpieczeństwa.

Fakt jednak, że do posiedzenia Rady doszło nie w wyniku przygotowanych rozmów, lecz naporu sytuacji — oczywiście musiał wpłynąć na jego przebieg. Wynik obrad — daleko idący kompromis między stanowiskami poszczególnych członków Rady — nie może zadowalać. Posiedzenie nie wniosło żadnych nowych elementów politycznych, które mogłyby sprzyjać znalezieniu rozwiązania, wykazało natomiast, że Izrael nadal czuje się bez karny, ponieważ z politycznego układu w Radzie wyprowadza wniosek, iż nie zdoła się ona na uchwalenie dokumentu potępiania.

Zjawiskiem natomiast dodatnim jest to, że Rada Bezpieczeństwa nie tylko nie zatrzymała furtki do dalszych poszukiwań, ale i nie zniweczyła wyniku dotychczasowych konsultacji.

W sumie ostatnie incydenty uświadomiły — zdaje się wszystkim uczestnikom sesji ONZ — że rozwiązanie problemu bliskowschodniego jest pilną koniecznością i że przedłużanie się obecnego stanu może mieć nieuniknione poważne następstwa.

Na tle dyskusji z ub. tygodnia, a zwłaszcza decyzji Stanów Zjednoczonych o wznowieniu dostaw broni dla Izraela, raz jeszcze w pełnym świetle ukazała się ich rola w tym konflikcie. Straty agresora w działaniach czerwcowych były niewielkie i nie uległyby militarne przesądziły o tej decyzji. Ma ona jednoznaczny aspekt polityczny, daje do zrozumienia, że polityka Waszyngtonu pozostaje w tym rejonie twarda i że USA nie są zainteresowane szybkimi zmianami aktualnej sytuacji. Jest to więc zarazem wskazanie, iż Waszyngton nie wykorzystuje swojej możliwości nacisku na Izrael, aby ten wszedł na niezbędne do pokoju uregulowanie konfliktu ustępstwa.

A jak aktualnie przedstawia się sytuacja w świecie arabskim?

Jest ona znacznie pomysłniejsza, niż w pierwszych miesiącach po agresji.

Zupełnowa jedność krajów arabskich, jaka powstała w wyniku zbrojnego napadu, umocniła się. Jej podstawę stanowią decyzje chartumskie. Realizm i pewna elastyczność, okazywane np. w toku wspomnianych powyżej kuluarowych rozmów, stały się ważnymi elementami polityki zagranicznej, która w wypadku Zjednoczonej Republiki Arabskiej doprowadziła do wznowienia dialogu z W. Brytanią.

Znacznie umocnił swoją pozycję Naser, który — co więcej — dokonał kilku posunięć, dokumentujących konsekwentną realizację obranej linii. Zdołał on nie tylko odprzeć ataki przeciwników, lecz zneutralizować ich wpływ. W ZRA przeprowadzono z powodzeniem reorganizację armii, eliminując, a nawet stawiając pod sąd oficerów, odpowiedzialnych za niepowodzenia wojskowe w czerwcu. Odniesione zwycięstwo, jak to udowodniły omawiane incydenty, dysponują już dużą zdolnością bojową i duchem walki.

Poważnie zagrożona jeszcze w lipcu i sierpniu gospodarka ZRA „złapała oddech”. Dzięki swoim umiejętnościom politycznym Naser zapewnił sobie bowiem pomoc finansową bogatych krajów arabskich, co w pewnym stopniu rekompensuje straty, jakie ponosi ZRA wskutek ciągłych prowokacji Izraela i okupowania przez niego części egipskiego terytorium. Właśnie ta pomoc krajów jeszcze tak niedawno przeciwnych Naserowi, jest najlepszym przykładem solidarności arabskiej i obecnej pozycji prezydenta.

Tak więc załamały się rachuby Stanów Zjednoczonych na pogiębienie procesu różnicowania świata arabskiego i wzrost w nim sprężystości. Polityk-realista wyciągnąłby z tego oczywiste wnioski, Johnson jednak, jak o tym była mowa wyżej, nie zamierza rewidować swej polityki. Myślę, że tylko do czasu...

★ ★ ★

A teraz w telegraficznym skrócie o trzech innych ważniejszych wydarzeniach.

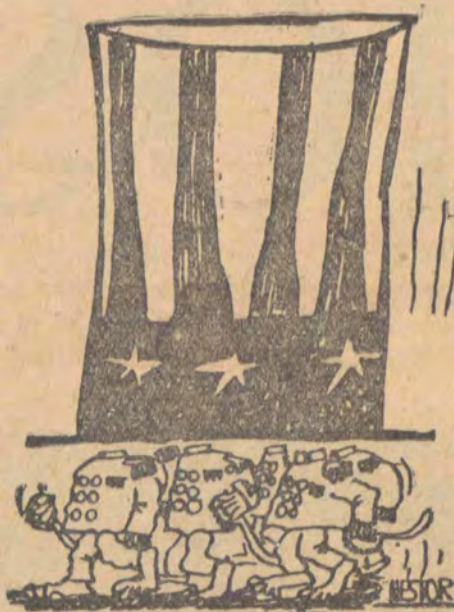
W Wietnamie USA wciąż i wciąż „stopniują” agresję. Lotnictwo amerykańskie w ciągu ostatnich czterech dni ub. tygodnia kilkakrotnie atakowało Hanoi. Tylko nad stolicą DRW zestrzelono 30 samolotów amerykańskich.

W Korei nasilają się pogwałcenia układu rozejmowego. Jak wynika z memorandum rządu KRLD, od lipca 1953 roku zanotowano ponad 52 tys. prowokacji. Ostatnio powtarzają się one z nasiloną częstotliwością.

Tymczasem w ONZ sekretarz generalny U Thant przedstawił raport „O skutkach ewentualnej wojny nuklearnej oraz wpływie zbrojeń nuklearnych na bezpieczeństwo i rozwój gospodarczy narodów”. Ten dokument-przestroga powinien jak najszybciej znaleźć się na biurkach polityków w Waszyngtonie...

W. SŁAWSKI

Kronika TYGODNIA



Wojenna „integracja” na modłę amerykańską

▲ Dziennik kairski „Al-Ahram”: W chwili obecnej nasz cel jest ograniczony. Mamy pod dostatkiem czasu, ażeby narzucić naszą wolę... Nie powinniśmy jednak biernie oczekiwać, że czas w miarę swego upływu, przez szkodzi wrogowi, aby nam narzucił swoją wolę. Wciąż znajdujemy się na początku, trudnej, niebezpiecznej drogi.

▲ W Chinach Ludowych produkuje się więcej żywności, eksportuje więcej ryżu i je się lepiej, niż to głoszono ogólnie rozpowszechnione poglądy — głosi sprawozdanie Światowej Organizacji do Spraw Żywności i Rolnictwa, FAO. Według FAO plony zbóż w Chinach wzrosły ze 181 milionów ton w 1962 roku do 188 milionów ton w 1963 roku, 195 mln. ton w 1964 r. i do 208 mln. ton w 1965 roku. W 1966 roku plony te uległy zmniejszeniu do 206 mln ton w następstwie długotrwałej suszy na północy kraju oraz powodzi w rejonach uprawy ryżu.

▲ Senator amerykański J. S. Clark zgłosił propozycję, aby USA odwołały z Grecji dwa niszczyciele i okręt podwodny, wypożyczone temu krajowi i przekazały je Izraelowi w celu zastąpienia zatopionego przez siły zbrojne ZRA niszczyciela „Eilat”.

▲ AP podaje, że w okresie od 1 lipca do połowy października br. w walkach powietrznych nad DRW między lotnictwem amerykańskim i lotnictwem DRW zestrzelono wg oficjalnych danych Pentagonu 15 samolotów amerykańskich i tylko 7 „Migów”.

▲ Izwiestia: Ambasada ChRL w Moskwie przekazała się w jakiś punkt przekazywany, kolektor do kolportowania droga nielegalną literatury antyradyzieckiej. Jest to funkcja, powiedzmy otwarcie, nieodpowiednia dla przedstawicielstwa dyplomatycznego. Dla agitatorów z ambasady chińskiej już od dawna powinno być jasne, że literatura, którą usiłują oni wepchnąć w każdą dziurę, nie daje żadnego skutku.

▲ W ciągu ostatnich miesięcy przestało się w NRF ukazywać ponad 40 gazet i czasopism. Niezależna komisja do badania sytuacji w prasie zachodniemieckiej zwróciła się do rządu o podjęcie akcji w wypadku, gdyby koncentracja prasy za-

częła zagrażać „wolności słowa”.

▲ Komunistyczna Partia Czechosłowacji liczy obecnie 1.700 tys. członków. Stanowi to 17 proc. wszystkich dorosłych obywateli kraju.

▲ Rude Pravo: Burzliwy rewolucyjny nastrój w Chinach jak gdyby przeminał; na ulicach Pekinu nie wylepia się już plakatów i gazet ściennych, nie dudnią gongi i nie przeciągają zastępy demonstrantów, jak to było wcześniej na porządku dziennym. Obserwatorzy w stolicy Chin ów stan rzeczy sprowadzają do kalkulacji, że „wielka proletariacka rewolucja kulturalna” praktycznie już się zakończyła, i że to, co się teraz dzieje to jej ostatnie tony.

▲ Sekretarz generalny ONZ U Thant opublikował sprawozdanie stwierdzające, że język angielski wysunął się obecnie na czoło przed językiem francuskim, jako najważniejszy język używany w dyplomacji. W chwili obecnej 83 ministrów spraw zagranicznych posługuje się w kontaktach między sobą językiem angielskim, zaś językiem francuskim tylko 39.

▲ Z ostatniej ankiety przeprowadzonej przez Instytut Gallupa w ponad 320 miastach i miasteczkach Stanów Zjednoczonych wynika, że „gdyby wybory prezydenckie odbywały się obecnie, prezydent Johnson zostałby pobity przez trzech kandydatów republikańskich, Richarda Nixona, Nelsona Rockefellera i Georga Romneya”.

▲ James G. Fulton, ekspert Kongresu od zagadnień badania przestrzeni kosmicznej oświadczył, że w styczniu przyszłego roku Chiny będą w stanie umieścić satelitę na orbicie okołoziemskiej.

▲ Eksperci bojący głoszili, że zatopienie izraelskiego niszczyciela „Eilat” przez jednostki wojskowe ZRA za pomocą rakiet, świadczy o tym, iż ZSRR, który wyposażył marynarkę egipską w ten rodzaj sprzętu bojowego, dysponuje rakietami o ogromnej precyzji i skuteczności. Zdaniem eksperta Diekmanna, Amerykanie, główny dostawca uzbrojenia dla NRF, nie dysponują jeszcze tak precyzyjną morską bronią rakietową. Diekmann stwierdził, że w warunkach wojny niszczyciele i fregaty zachodniemieckie padłyby ofiarą rakiet radzieckich, zanim by jeszcze do-

łąły rozpoznać cele nieprzyjacielskie lub też dojrzeć je na tarczach radarowych.

▲ W chwili obecnej zamknięcie Kanału Sueskiego kosztuje Wielką Brytanię 20 mln funtów szterlinów miesięcznie.

▲ W utworzonym w 1919 roku Instytucie Hoovera przy Uniwersytecie Kalifornijskim w dniach 9-13 października obradowało sympozjum na temat „50 lat komunizmu w Rosji”. Sympozjum to należało do serii imprez, którymi propaganda burżuazyjna „uczciła” 50-lecie Października. W czasie owego sympozjum zabral głos 86-letni Kiereński, o którym amerykański publicysta Harry Freeman, relacjonujący przebieg wspomnianej imprezy antyradyzieckiej pisał: „Ten bankrut uparcie powtarzający wyartykułowane brednie”. „Tegoż dnia — kontynuuje Freeman — Kiereńskiego poproszono, aby zabrał głos na sympozjum. Zmurszały kontrrewolucjonista, który wciąż jeszcze wyobraża sobie, że jest świętym mówcą, głądził przeszło godzinę. Młodzi zawodowi antykomuniści niespokojnie krecili się na krzesłach. Wyrażnie irytował ich nie kończący się potok pustych frazesów. Ktoś „szepnął mi na ucho: „Teraz rozumiem, dla czego pozbawiono go władzy”. Ale również inni mówcy byli podobnie jak Kiereński „nie z tego świata”.

▲ Luigi Longo — sekretarz generalny Włoskiej Partii Komunistycznej o światowej naradzie partii komunistycznych i robotniczych: Jest rzeczą oczywistą, że w tych warunkach, zastrzeżenia i wątpliwości sprzed czterech lat, co do potrzeby zwolnienia wówczas światowej rady, która — jak myśleliśmy — mogła spowodować pogorszenie stosunków z KPCh, nie mają racji bytu. Stosunki te nie mogłyby być gorsze niż obecnie. Nie ma najmniejszej nawet perspektywy na ich szybką poprawę, chociaż nigdy nie powinniśmy rezygnować z robienia w każdym wypadku wszystkiego, co możliwe, dla znalezienia wyjścia z tej sytuacji.

▲ Senator Eugene McCarthy — demokrat ze stanu Minnesota — oświadczył, że należałoby natychmiast rozpocząć starania o wybranie kogoś innego niż Johnsona na kandydata partii demokratycznej na prezydenta w wyborach 1968 roku. Zdaniem senatora, młodzi ludzie „powinni być przygotowani do udzielenia poparcia tym, którzy zdecydowali się przeciwstawić się sprawującemu obecnie władzę prezydentowi Stanów Zjednoczonych”.

▲ Na konferencji rozbrojeniowej w Genewie delegat

Rumunii domagał się, aby układ o zakazie rozprzestrzeniania broni jądrowej zawierał ściśle gwarancje ze strony USA i ZSRR na temat stopniowego zlikwidowania arsenałów broni jądrowej. W przeciwnym razie — stwierdził — przedstawiciel Rumunii — układ o nieprolifracji przyczyni się do uwiecznienia podziału świata na państwa dysponujące bronią jądrową i państwa nią nie dysponujące.

▲ Z okazji święta 50-lecia Rewolucji Październikowej wydawnictwo „Su That” w Hanoi opublikowało książkę pt. „O Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej” obejmującą wybrane prace Lenina i Stalina.

▲ Od szeregu miesięcy w Chinach toczy się wielka kampania wokół przywrócenia normalnych warunków na terenie szkół i zakładów naukowych oraz na rzecz rozpoczęcia nauki przede wszystkim w szkołach powszechnych, średnich i wyższych. Prasa i radio chińskie zalecają również młodzieży przyjąć i szanować starych nauczycieli, nawet tych, którzy popełnili kiedyś błędy i wspólnie z nimi pracować, czuwając nad właściwym realizowaniem nowego programu szkolnego, zgodnie z zaleceniami Mao.

▲ Józef Lenart, premier rządu CSRS: Czechosłowacka Republika Socjalistyczna trwa na stanowisku, że powinno się obecnie jednocześnie zlikwidować Pakt Atlantycki i Układ Warszawski, w pierwszym etapie zaś rozwinąć ich organizacje wojskowe.

▲ Do 400 tys. ton wzrosło do końca 1960 roku tonaż rumuńskiej floty tankowców służących do przewożenia ropy naftowej z innych krajów na potrzeby rumuńskich rafinerii oraz przetworów tych rafinerii sprzedawanych za granicę.

▲ CSRS zajmuje pierwsze miejsce w świecie pod względem ilości zatrudnionych obywateli. Odsetek zatrudnionych wynosi 65 proc. wszystkich obywateli państwa, przy czym ponad połowę stanowią kobiety. W USA np. pracuje 53 proc. obywateli, w tym 1/3 kobiet. W ostatnich 20 latach przybyło w CSRS milion zatrudnionych, co powoduje, że wydajność pracy nie rośnie dostatecznie szybko.

▲ Prokuratura generalna stanu Nowy Jork wysunęła wniosek o zdelegalizowanie skrajnie prawicowej organizacji „Minutemen” na terenie tego stanu oraz skazywanie członków tej paramilitarnej organizacji na karę do 15 lat więzienia.



— Sztandar konkwistadora

Łódzka Rada Delegatów Robotniczych

Pięćdziesiąt lat temu robotnicy i żołnierze w Piotrogradzie w wyniku zbrojnego powstania obalili rządy kapitalistyczne w Rosji. Kierująca tymi wydarzeniami partia robotników powołała nowe rządy w postaci Rad Delegatów Robotniczych, Żołnierskich i Chłopskich. Po raz pierwszy w dziejach ludzkości przystąpiono do budowy ustroju socjalistycznego. Rzucone przez proletariatu rosyjskiego hasło: „Cała władza w ręce Rad” przeniknęło granice dawnego imperium carskiego i obiegło cały świat. Wieści o zmianach w Rosji szybko dotarły do społeczeństwa polskiego.

Do Łodzi wieści ze zrewolucjonizowanej Rosji przywozili powracający z armii rosyjskiej robotnicy. Padły one na grunt szczególnie podatny: działania wojenne zdewastowały całkowicie przemysł łódzki, pozostawiając pracy tysiące robotników, czego wynikiem był panujący powszechnie głód. Ciężkie warunki bytowe proletariatu sprzyjały radykalizacji nastrojów i poglądów. Miejskowa prasa burżuazyjna z niepokojem donosiła o rozlewaniu hasła bolszewickiego przez powracających żołnierzy. „Miedzy żołnierzami — pisało — przeważa żywioł bolszewicki”.

Oprócz żołnierzy i rezerwistów armii rosyjskiej — robotników, powracali także wraz z rodzinami przedstawiciele burżuazji i mieszczaństwa: kupcy, przemysłowcy, urzędnicy. Różnorodny skład społeczny powracających osób sprawił, że w Łodzi zaczęły krążyć sprzeczne relacje o wydarzeniach w Rosji. Miało to wpływ na podział społeczeństwa łódzkiego: jedni stali się gorącymi zwolennikami przewrotu społecznego, inni jego zdecydowanymi przeciwnikami. W maju 1918 roku donoszono z Łodzi: „Nastroje społeczeństwa w obecnych warunkach niewątpliwie trzeba zestawiać z powrotem uchodźców, względnie wojskowych, byłych urzędników, których w obecnym czasie powraca wielka liczba. Uchodźcy ci należą do różnych warstw i stosownie do przynależności wyznają takie lub inne zasady (—). Wiadomości, które udzielają otoczeniu, rodzinom, względnie znajomym, wpływają otrębiając na społeczeństwo, dół jednak — proletariatu fabryczny, względnie rzemieślniczy lub stany źle sytuowane — zdradzają pociąg ku bolszewizmowi i radzi by zaprodukować ten twór u nas”.

Niezależnie od przypadkowych propagatorów hasła rewolucji rosyjskiej, zorganizowaną kampanię agitacyjną prowadzili działacze partii radykalnej lewicy robotniczej. We wrześniu 1918 roku wrócił z Rosji aktywny działacz PPS-Lewicy, Henryk Bitner, który brał czynny udział w Rewolucji Październikowej. „Znalazłszy się w Łodzi — pisał Bitner — gdzie miałem liczne kontakty z robotnikami, członkami PPS-Lewicy, rozwinąłem tu pracę, popularyzując wśród nich Wielką Rewolucję Październikową”.

W 1918 roku nastąpiła aktywizacja wszystkich środowisk społecznych i ugrupowań politycznych. Oświadczenia proletariackiej władzy w Rosji, w sprawie prawa narodu

polskiego do niepodległości i anulowania traktatów rozbiorowych, stworzyły nadzieję na odbudowę państwowości polskiej. Szanse te umacniały przekonania o nieuchronnej klęsce militarnej pozostałych dwóch zaborców, tj. Niemiec i Austrii. Z każdym miesiącem upływającego 1918 roku nadzieje te stawały się coraz bardziej realne. Im bliższa była chwila odzyskania niepodległości, tym bardziej krystalizowały się poglądy poszczególnych klas społecznych na model ustrojowy nowej Polski. Burżuazja i elementy konserwatywne, doświadczone losami rosyjskiej burżuazji, energicznie zabiegali o zdobycie władzy, aby nie dopuścić do przewrotu społecznego. Lojalnie popieraną Radę Regencyjną i Radę Stanu, oczekując od nich utrzymania panujących stosunków społecznych i zabezpieczenia przed ewentualnymi ruchami rewolucyjnymi. Opowiadano się za parlamentaryzmem oraz silnym rządem, wojskiem i policją. W prasie podkreślano, że „palaca się staje kwestia zorganizowania bezpieczeństwa, które by w czasie krytycznym obroniło Królestwo przed stanem anarchii”. Ze szczególną gorliwością nawoływano do tworzenia wojska, ponieważ „armia potrzebna jest w pierwszym rzędzie do obrony przed bolszewizmem”.

W dniu odzyskania niepodległości, 11 listopada 1918 roku, partia rewolucyjnej lewicy opowiedziała się za budową socjalistycznych rządów opartych na Radach Delegatów Robotniczych. W wydanych w tym dniu odezwach, SDKPiL z entuzjazmem i wielką nadzieją powitała rewolucyjną przemianę w Rosji i w Niemczech, nawołując robotników Łodzi do pójścia za tym przykładem. W zakończeniu odezwę PPS-Lewicy wzywano proletariatu łódzkiego do tworzenia Rad Robotniczych, które będą organami władzy proletariackiej u nas”.

W pierwszych dniach niepodległości powstały w Łodzi dwie Rady. PPS-Frakcja Rewolucyjna wspólnie z NZR i kilkoma związkami zawodowymi utworzyła Radę Robotniczą m. Łodzi. Przywódcy PPS zrezygnowali z tworzenia Rad, jako organów dyktatury proletariatu, nadając im charakter instytutów wyłącznie opiniotwórczych i samorządowych. Pozbawili Rady funkcji rewolucyjnych i politycznych, przekształcając je w organy wspomagające działalność rządu. Zgodnie z programowymi założeniami, działacze PPS uwierzyli w możliwość zbudowania ustroju socjalistycznego na drodze parlamentarnej. W ich założeniach nie mieściła się koncepcja Rady Delegatów Robotniczych, jako organu dyktatury proletariatu.

Inny stosunek do tej sprawy mieli przywódcy SDKPiL i PPS-Lewicy, którzy utworzyli Radę Delegatów Robotniczych m. Łodzi i Okolice. W referacie programowym wygłoszonym na pierwszym posiedzeniu Rady stwierdzano, że właśnie poprzez te instytuty „proletariat dążyć będzie do ujęcia w swe ręce pełnię władzy politycznej i odłączenia zupełnego od niej burżuazji. Z organu walki o dyktaturę proletariatu stana się one organami rządu robotniczego. Za pomocą Rad Robotniczych proletariatu dojdzie do władzy i rozpocznie budowę ustroju socjalistycznego”.

Burżuazja łódzka i sfery konserwatywne energicznie zwalczały każdą koncepcję Rad. Z oburzeniem stwierdzano w jednej z odezw, że kierowane przez SDKPiL i PPS-Lewicę Rady Delegatów Robotniczych „powstają pod wyraźnymi hasłami bolszewizmu i anarchii, otwierają drogę do celów zakreślonych przez Leninów i Trockich”. Z nieukrywanym zdziwieniem pisało, że tworzone przez PPS Rady Robotnicze „hodując walkom klasowym, naiwnie wprawiają same sobie, że pożytek krajowi i klasie pracującej przyniosą, nie chcąc tej oczywistej prawdy dostrzec, że jedynie podłoże dla przyszłego bolszewizmu gotują”. Przekonywano, że klasa robotnicza i chłopstwo, stanowiące zdecydowaną większość w narodzie, zdobędą na drodze pięciopopłomnikowych wyborów większość w Sejmie i samorządzie i w ten sposób „na drodze prawnej nie tylko interesów swoich bronić mogą, lecz o losach narodu i państwa decydować”. W konkluzji odezw zapowiadano, że „wałem pierśi naszych przeciwstawimy się bolszewickiej Radzie”. Na wiecach endekich zapowiadano „bezwzględna walkę z bolszewizmem i wszelkimi jego objawami”.

Przywódcy SDKPiL i PPS-Lewicy zdawali sobie sprawę ze szkodliwości istnienia dwóch konkurujących Rad i wszelkimi sposobami

dążyli do połączenia tych instytucji. Cel ten osiągnięto w dniu 1. XII. 1918 roku, kiedy powstała zjednoczona już Rada Robotnicza m. Łodzi. W złożonych na zebraniu połączeniowym deklaracjach poszczególnych partii, przywódcy PPS główny nacisk położyli na potrzebie udzielania przez Radę poparcia rządowi Moraczewskiego, podkreślając jednocześnie wyłącznie opiniotwórczy charakter Rady. Deklaracja złożona przez grupę SDKPiL i PPS-Lewicę wysunęła hasło: „cała władza w ręce Rad”, postulując obalenie ustroju kapitalistycznego i zastąpienie go przez socjalistyczny.

W pierwszym okresie istnienia połączonej Rady, zdecydowana większość miała przeciw niej rewolucyjną koncepcję Rad Robotniczych. Jednak pod wpływem wydarzeń ogólnych, narastających sprzeczności społecznych, represji, bezrobocia i katastrofalnie pogarszających się warunków bytowych, coraz większa popularność zyskiwały poglądy głoszone przez radykalną lewicę. Od 16. XII. 1918 roku akcja lewicy została ujednolicona przez powstanie Komunistycznej Partii Robotniczej Polski. Na forum Rady komuniści zaczęli zyskiwać coraz większą popularność, a zgłaszane przez nich rezolucje otrzymywały już 50 proc. głosów. a w sprawach ekonomicznych, nawet głosy wszystkich delegatów PPS, głoszących idee parlamentarnej drogi do socjalizmu, spotkały niepowodzenia. 16. I. 1919 roku, premier tzw. rządu ludowego, Jędrzej Moraczewski podał się do dymisji, wbrew opinii kierownictwa partii. W dn. 26. I. 1919 roku poniesiono klęskę w wyborach do Seimu. Partia uzyskała w Łodzi 2 mandaty (20 proc.), zaś w całym kraju zaledwie około 12 proc.

Te niepowodzenia nie podlegnęły, oczywiście, za soba automatycznego opowiadania się za dyktaturą proletariatu. Z niepokojem nawet patrząco na stale wzrastające wpływy komunistów w Radzie Robotniczej. Jeszcze większe obawy narastały w szeregach ugrupowań prawicowych, które tylko ze względów taktycznych wstąpiły do łódzkiej Rady Robotniczej. NZR i Polskie Związki Zawodowe niepokoiły „bolszewickie aspiracje Rad”. W połowie marca 1919 roku ugrupowania te postanowiły wycofać się z Rady jako że „przekształciły się one w ekspozyturę komunistyczną i wyraźnie propagują dyktaturę proletariatu”.

Grupy drobnoniebezpieczne, inteligencja oraz NZR z podległymi mu związkami zawodowymi wycofały się z Rady w sposób demonstracyjny. Pęseosowcy musieli stopniowo przytępiać grunt dla podjęcia takiej decyzji. Z pomocą przyszedł przeciwny przez PPS sukces w wyborach do Rady Miejskiej w dniu 23. II. 1919 roku. Z ogólnej liczby 75 mandatów, PPS zdobyła 25 mandatów, a więc nie zdobyła wymaga-

nej większości (38 mandatów). Jedynie wspólnie z NZR można było utworzyć blok posiadający w Radzie Miejskiej więcej niż połowę głosów (41). Mimo to odżyły wśród łódzkiego aktywu partyjnego PPS, nadzieje na możliwość zdobycia władzy drogą parlamentarną. Aktywiści PPS stali się gorliwymi zwolennikami koncepcji socjalizmu municipalnego. Uznali Radę Miejską za przedstawicielkę interesów mieszkańców miasta, a tym samym i robotników. W ten sposób, jedna z najważniejszych — według koncepcji PPS — kompetencji Rad Robotniczych, została przekazana na Radę Miejską. Nie widziano więc przeszkód do zrezygnowania z Rady Robotniczej, tym bardziej, że tracono w niej wpływy na rzecz komunistów. Mimo zadawnionych antagonizmów z NZR, nawiazała PPS z tą partią ścisły sojusz na forum Rady Miejskiej. Łudzone siebie i klasę robotniczą, że ta „socjalistyczna”, jak ją nazywano, Rada Miejska (praktycznie w 35 proc.) będzie w stanie skutecznie bronić interesów klasy robotniczej.

Od marca 1919 roku pęseosowcy systematycznie usuwali się od prac w Radzie Robotniczej, bojkotowali jej posiedzenia, a w dniu 26. VI. 1919 roku, definitywnie zrezygnowali z udziału w Radzie. Tylko komuniści, którzy wierzyli w nadejście sprzyjających okoliczności dla zdobycia władzy, nie zrezygnowali z utrzymania Rady Robotniczej. Niedługo był jednak żywot opuszczonej przez PPS Rady Robotniczej. Ostatnie zebranie plenarne odbyło się w dniu 4. VIII. 1919 roku.

W pierwszych miesiącach niepodległości rozegrała się między klasą robotniczą a burżuazją walka o władzę, czyli o charakter i treść klasową państwa polskiego. Rezultatem tej walki był nieomyślny dla mas pracujących — nowa Polska ukształtowała się jako państwo burżuazyjne. Polityka tzw. rządów ludowych i postawa kierownictwa PPS sprzyjały utwierdzeniu wśród przeważającej części klasy robotniczej przekonania, że istnieje możliwość zbudowania w Polsce ustroju sprawiedliwego społecznie bez uciekania się do metod rewolucyjnych. Jednak u władzy PPS nie wykorzystwała szans na zbudowanie ustroju socjalistycznego w drodze reformistycznej. Doświadczona w rozgrywkach politycznych burżuazja, zdolna opanować kluczowe pozycje w kraju, zaczęła z siłą zbrojną i aparatem bezpieczeństwa. Jedynie Komunistyczna Partia Robotnicza Polski głosiła, w tych dniach hasło całkowitego przejęcia władzy przez masę pracującą, której organami miały być Rady Delegatów Robotniczych, wzorowane na doświadczeniu rosyjskich Rad z czasów Rewolucji Październikowej.



Michał Romberg. Ilustracja do książki Johna Reeda — „Dziesięć dni, które wstrząsnęły światem”.

Nożycami przez PRASĘ

RATUNKU, NAPASĆ DŹWIEKOWA!

Nie dba się u nas o ciszę nawet tam, gdzie to jest oczywiste, lub gdzie jest to łatwo osiągalne. Nie dba się o nią w sanatoriach, a także w miejscowościach uzdrowiskowych. Zimą w Krynicy skrzeczka na całą okolicę megafony znad sztucznego lodowiska, w uroczym Zęglowie niweczy cały widzący miejscowości zra diofonizowany barabus.

Możliwość napasce dźwiękowej wrasta u nas wszędzie. Taka napasce nadal jest bezkarna we wszystkich miejscach publicznych, jeden

silny odbiornik tranzytorowy w rekach pseudocywilizowanego osobnika odbiera na przykład łodzianom prawo do względnej ciszy w łódzkich parkach. Terror pseudocywilizowanych wzmacnia się bezkarnie.

Problem staje się z dnia na dzień coraz poważniejszy, nie interesuje się nim ani ustawodawstwo, ani administracja porządku publicznego.

Julian Stawiński wraca do tematu w „Polityce”, przypominając m. in., iż prezydent de Gaulle już przed rokiem zabronił w całej Francji korzystania z tranzy-

storów w miejscach publicznych.

Burmistrz Nowego Jorku oświadczył:

„Miasto ma obowiązek ochrony swoich obywateli przed wszelką formą gwałtu, łącznie z napasłą dźwiękową”.

A skutki? Wzrastałość nerwów i z tego właśnie powodu. Stawia się powołuje się na niektóre wyniki badań naukowych...

Dr Rosen zbadał też wpływ hałasu na ciśnienie krwi, najpierw w Dortmundzie, u zgłaszających się ochotników, następnie u Mahasiswa. W obu przypadkach stwierdził, że przy działaniu dźwięków od 95 do 100 decybeli (głosy pneumatyczny lub głośny motocykl) następuje skurcz włosowatych naczyń krwionośnych, co stopniowo prowadzi do chorób krążenia, nadciśnienia i głuchoty; a stan nerwów ulega znacznemu naszpikowaniu.

WSNIE

W nowym numerze „Osnowy” (ciągle jeszcze nie wiadomo: kwartalnika czy almanachu?) wśród wielu interesujących tekstów literackich i publicystycznych znajdujemy przyczynek do dzieł wyższego szkolnictwa w Łodzi.

Tadeusz Telma przypomina, iż wbrew dość utartemu mniemaniu pierwsza wyższa uczelnia w mieście nie była zorganizowana w 1928 roku koło Wolna Wszechnica Polska, ale powołana do życia jeszcze w 1925 roku Wyższa Szkoła Nauk Społecznych i Ekonomicznych.

Jaka szkoda, że się nie utrzymała i nie przetrwała do wybuchu wojny. Może by wtedy inteligencja łódzka nie musiała co i raz bronić niektórych swoich racji, poczynając od plecy, czyli od abecadła!

CO SIĘ DZIEJE NA DROGACH?

Ze źle, o tym każdego tygodnia dowiadujemy się z gazet. Zatrwożeni, śledzimy bezradnie liczby i nekrologi. Podejmujemy te kwestie jeszcze raz, bo i „Odgłosy” ją podejmowały. Barbara Seidler w „Życiu Literackim”.

Od 1 stycznia do 1 września br. na drogach naszego kraju miało miejsce blisko 19 tys. wypadków. Poniosło w nich śmierć 1797 osób (w tym 17 proc. dzieci) a 17 467 osób (w tym 15 proc. dzieci) odniosło rany.

W roku, który jeszcze się nie skończył, wzrosło do prokuratury Rzeszy ok. 30.000 spraw o przestępstwa drogowe. Naliczono przyczyną wypadków jest nie trzeźwość użytkowników dróg.

Nałogowi alkoholicy, jak się okazuje, nie mogą być pozbawiani prawa jazdy.

Sprawnego i zdolnego do szybkiego refleksu

obniżają również różne pigułki.

Dalej Barbara Seidler wymienia stan dróg, częste roboty drogowe, oczywiście, ponad miarę się przedłużające, nie raz pozbawione właściwych znaków ostrzegawczych.

Stan techniczny wozów...

A w sumie głównego źródła wypadków drogowych, zdaniem niemieckiego podbiornego, należy dopatrywać się w lekomyślności, pseudobrawurze, w liczeniu na „jakoś to będzie”, w dziwnym stosunku wielu ludzi do przepisów. Nie tak dawno zdarzył się tragiczny wypadek autobusowy, którego kierowca w sposób widoczny nie był trzeźwy. Tylko uczeń technikum zwrócił na to uwagę, towarzyszyła jej obywatelność innych pasażerów, tylko uczeń technikum wysiadł na najbliższym przystanku, zegnany zapewne szczerymi spojrzeniami tych, którzy ze śmiałości rezy-

gnąć jechali ku niebezpiecznej katastrofie.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Ostatnia „Polityka” odnotowuje:

W nakładzie pięciu milionów egzemplarzy ukazała się instrukcja „Jak używać i konserwować obuwie skórzanego”. Stanowi ona pełne compendium wiedzy o noszeniu, wkładaniu, zdejmowaniu oraz odtwarzaniu butów. Dzieło owo zaleca, aby buty przed włożeniem rozsunąć lub odpiąć, a po włożeniu zasznurować lub zapiąć. Do każdego buta wkłada się po jednym prawidło i inne postępowanie jest wadliwe. Po zdjęciu butów nakazuje się: „postawić obuwie w przewidzianym miejscu w temperaturze 30 stopni”. Tu następuje rozdział z realizmem, bo gdybyśmy mieli takie temperatury nie potrzebowalibyśmy butów.

JAN OLECHNO

Łódzka rusycystyka

Uniwersytet Łódzki jako uczelnia bardzo młoda — bo czymże jest tych z górą dwadzieścia lat jego istnienia wobec sześciowiekowej tradycji Krakowskiej Alma Mater! — ciągle podlega prawu dynamicznego rozwoju. Co pewien czas dowiadujemy się o powołaniu do życia nowej katedry, otwarciu nie prowadzonej dotąd specjalności w ramach istniejącego już kierunku lub nawet utworzeniu nowego kierunku. Na Wydziale Filologicznym, takim najmłodszym, dopiero niedawno powołanym do życia kierunkiem jest rusycystyka.

Katedra Filologii Rosyjskiej kierowana przez doc. dr. Mieczysława Olechnowicza istnieje dopiero dwa lata. Od roku prowadzi studium dzienne, od dwóch — wieczorowe. To drugie przeznaczone jest jedynie dla czynnych dydaktycznie nauczycieli — absolwentów Studium Nauczycielskiego. Również dla czynnych nauczycieli otwarte jest już drugi rok z rzędu studium eksternistyczne — tu jednak przyjmują się tylko tych kandydatów, którzy ukończyli już wyższe studia humanistyczne w Związku Radzieckim, względnie w Polsce rusycystykę I stopnia (takie dwustopniowe kształcenie uniwersyteckie było — jak wiadomo — koniecznością w pierwszym powojennym okresie). Czwarty typ zajęć prowadzonych przez Katedrę to tzw. „mała filologia rosyjska” na filologii klasycznej. Studenci klasyki mają od trzech lat możliwość kształcić się z rusycystyki w ramach zajęć fakultatywnych, a więc nadobowiązkowych, po ukończeniu których zyskują prawo nauczania języka rosyjskiego w szkołach podstawowych.

Obecnie istnieje w Polsce 10 katedr filologii rosyjskiej: 6 na uniwersytetach i 4 na wyższych szkołach pedagogicznych. W sumie — na I rok studiów rusycystycznych przyjmowanych jest rocznie około 700 osób.

Zapotrzebowanie na magistrów filologii rosyjskiej jest w Polsce ogromne. Szkoły licealne i zawodowe w miastach wojewódzkich i powiatowych czekają na wysoko kwalifikowanych nauczycieli języka rosyjskiego. Łódź i województwo potrzebują ich bardzo dużo. Perspektywy pracy przedstawiają się więc zachęcająco. Nie też dziwnego, że Łódzka rusycystyka cieszy się ogromnym powodzeniem. Limit miejsc na studiach dziennych wynosił w bieżącym roku akademickim 30. Do egzaminów wstępnych przystąpiło aż 178 kandydatów.

Zdać egzaminy wstępne — to jednak nie wszystko, nawet — jeśli zda się je dobrze lub bardzo dobrze. „Nauka obcego języka” — mówi doc. Olechnowicz — wymaga specjalnych uzdolnień: doskonałego słuchu i pamięci muzycznej. Bez nich nie opanuje się dostatecznie języka, zawsze będą kłopoty z akcentem”.

Słaby słuch i kłopoty z pamięcią muzyczną, mogą stać się przyczyną odpadnięcia ze studiów osób nie mających trudności z opanowaniem słownictwa i norm gramatycznych. Tym chyba należy tłumaczyć duży odsetek studentów, którzy nie zdolali zaliczyć pierwszego roku: było ich sześciu na 36 przyjętych.

Nie tylko szkolnictwo średnie czeka na magistrów filologii rosyjskiej. Wciąż jeszcze szczupła i bardzo młoda jest kadra naukowa w tej dziedzinie. Szanse pracy naukowej po studiach są więc bardzo duże.

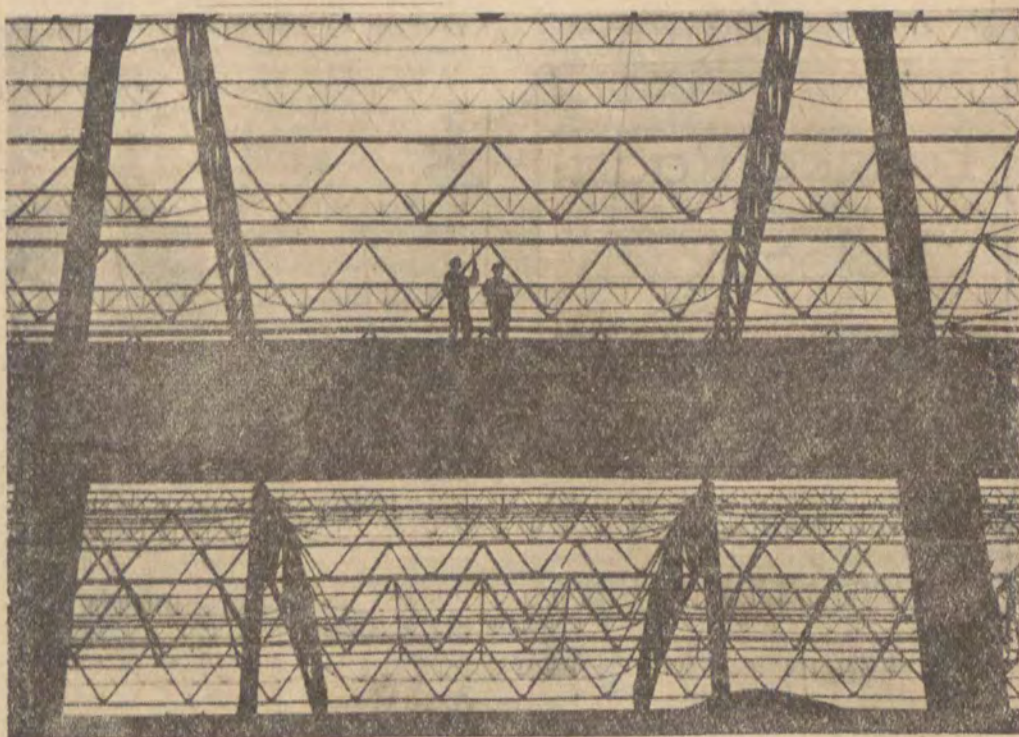
— A jak przedstawia się sprawa wyjazdów studentów za granicę? — pytam doc. Olechnowicza.

— Nie wszystkim jeszcze możemy je zapewnić — odpowiada. — Ale, dla rozwoju umiejętności językowych naszych wychowanków, organizujemy po III roku studiów 3-tygodniowe kursy wakacyjne z udziałem obcokrajowców. Tak postępuje w Polsce cała neofilologia. Proporcje są mniej więcej takie, że na 10—12 polskich studentów przypada 1 mentor-student starszych lat filologii rosyjskiej ze Związku Radzieckiego. Niezależnie od tego „premiowani” są 6-tygodniowymi wyjazdami za granicę studentów wykazujących najlepsze postępy w nauce. Co roku 60 osób wyjeżdża więc z Polski do Związku Radzieckiego w okresie wakacyjnym; oczywiście jest to łączna ilość studentów wysyłanych tam w nagrodę ze wszystkich katedr rusycystyki. Jeszcze jedna, bardzo atrakcyjna możliwość, to studia w Związku Radzieckim. Co roku będziemy tam wysyłać 2 osoby na 3 lub 4-letnie studia rusycystyczne. Wyjazd może nastąpić po II roku studiów i poprzedzony jest egzaminem państwowym.

Skoro już mowa o wyjazdach, to warto dodać, że obecnie dwóch asystentów Łódzkiej Katedry przebywa na 6-miesięcznym stażu w Związku Radzieckim. Na miejscu pozostało więc dziewięciu. Trzy osoby mają już otwarte przewody doktorskie, a w niedługim czasie otworzą je i inni starsi asystenci. W Katedrze pracuje już dwóch doktorów: starszy wykładowca literatury rosyjskiej — dr Zenaida Ryter i starszy wykładowca teorii literatury — dr Zygmunt Grosbart. Bardzo cenna jest dla naszej rusycystyki współpraca specjalistów radzieckich. W bieżącym roku przyjechali do nas na okres dwóch lat: doc. Emilia Popowa — językoznawca i doc. Włodzimierz Popow — historyk literatury, oboje — z Lwowskiego Uniwersytetu Państwowego.

Katedra Filologii Rosyjskiej zamierza opracować zespołowo i wydać w ujęciu monograficznym niezwykle ciekawy problem: zapożyczenia polskie w językach wschodnio-słowiańskich w aspekcie historycznym. Prowadzić będzie też prace nad strukturą akcentu oraz teorią przekładu. Możliwość publikacji to przede wszystkim „Zeszyty Naukowe Uniwersytetu Łódzkiego” — co roku jeden numer ma być oddany do dyspozycji rusycystyki; wydawnictwa Łódzkiego Towarzystwa Naukowego oraz „Glottodidactica” — poznański rocznik specjalistyczny wydawany przez Zakład Językoznawstwa Stosowanego. Niewielkie publikacje można też ogłaszać drukiem w „Języku Rosyjskim” — czasopiśmie dla nauczycieli, którego redaktorem naczelnym jest właśnie doc. dr. M. Olechnowicz. To ważne — tych pięć numerów pisma ukazujących się co roku jest przecież doskonałą platformą integrowania środowiska naukowego i nauczycielskiego. A właśnie do tego zmierza nasz system edukacji narodowej obejmujący wszystkie typy i poziomy szkolnictwa.

Łódzka rusycystyka utrzymuje bardzo żywe kontakty z Mińskiem. Konkretnie: z Instytutem Językoznawczym i Instytu-



Fot. A. Osmulkiwicz

tem Literatury Akademii Nauk Białoruskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej.

* * *

Jak widzą i oceniają swój kierunek sami studenci rusycystyki? Wrażenie pierwsze, kiedy zjawiłam się u nich, aby „zasięgnąć języka”: niemal całkowita feminizacja, hojnie za to nagrodzona (uwaga — panowie!) urodą studentek. Tak, na II roku, który liczy 30 osób jest tylko jeden mężczyzna.

— On już całkiem zniewieściał! — śmieje się jedna ze studentek.

— W tym roku z zainteresowaniem czekaliśmy na nowy narybek — dodaje druga. — Może u nich będzie lepiej? Może warto było poczekać jeszcze roczek ze zdawaniem?

I faktycznie jest lepiej, bo panów już tym razem pięciu. Rozmowa schodzi na tory poważniejsze.

— Miałymy dużo kłopotów, zwłaszcza na początku — stwierdza wiele studentek. — Zajęcia prowadzone są przecież od pierwszego dnia w języku rosyjskim. A co tu dużo mówić, z naszym przygotowaniem wyniesionym ze szkoły nie jest najlepiej.

— Książki szkolne, przekonałyśmy się, są bardzo niedobre. Teksty zawarte w nich operują zbyt małą ilością słów i nie przygotowują do prowadzenia rozmowy. Wiadomości z gramatyki, jakie wyniosłyśmy ze szkoły są minimalne, prawie żadne. Najwięcej kłopotów mamy jednak z konwersacją, z żywą mową, której tak bardzo brak w szkole. A przecież egzaminy — i to już po pierwszym semestrze zdaje się w języku rosyjskim.

— W tym roku, podobnie jak w poprzednim, czeka nas zbyt wiele egzaminów. Ale skoro już tak musi być, ja osobiście wolalabym — mówi jedna ze studentek przy wielu popierających ją głosach — żeby więcej egzaminów było w sesji zimowej, mniej w letniej, bo wtedy jest się bardziej zmęczonym.

— Najgorszy jest staro-cerkiewno-słowiański — stwierdza ją jednogłośnie jedna z drugiej. Dobrze, że przeniesiony został na II rok. My miałyśmy na I — to stanowczo za wczesnie!

— Zajęcia z ses-u powinny trwać dłu-

żej, przez dwa semestry, a nie przez jeden. To za krótki czas na taki trudny przedmiot.

— Najgorsze jest to, że nasze ćwiczenia praktyczne z języka za bardzo przypominają lekcje szkolne — użalają się przedstawicielki jednej z grup. Nauczyć się stąd — dotąd, wykuć regułki takie a takie, przeczytać, streścić... Za mało rozmawia się z nami! A my chciałabyśmy właśnie na tych ćwiczeniach podyskutować na różne tematy, np. o najnowszym filmie radzieckim, który akurat można było obejrzeć w łódzkich kinach.

— Dlaczego daje się nam do przetwarzania niezbyt atrakcyjne teksty literackie? Chcemy więcej literatury najnowszej.

— Chcielibyśmy poznać język na żywo. Podobno będą organizowane dla nas obozy wakacyjne z udziałem rodowitych Rosjan. Ale takie imprezy powinny odbywać się co roku, a nie jednorazowo!

— Zazdrość nas bierze, kiedy słyszymy o nowych technikach nauczania, o specjalnych kabinach, o magnetofonach.

Mówi o tym i doc. Olechnowicz, że magnetofony są, że jest rzutnięć tak potrzebny do nauki języka, ale nie ma ich gdzie wykorzystać: trudności lokalowe.

— Co tu mówić o magnetofonach! — protestuje któraś ze studentek. — Z pod ręcznikami tragedia!

Wśród skarg i żalów słyszy się i inne głosy.

— Nasza Katedra dopiero niedawno powstała. Nie możemy mieć wszystkiego naraz. Przecież my jesteśmy pierwszymi przyjętymi na studia. — Następne roczniki na pewno nie będą już mieć takich trudności jak my.

Była jeszcze mowa o tym, że licząc na pracę w szkołach, że podobno miejsc jest dużo, kłopotów po studiach nie będzie, że niektórzy mają chętkę na asystenturę, na pracę naukową. Wychodziłam od nich z przekonaniem, że patrzą na studia i związane z nimi sprawy trzeźwo, z zapalem lecz krytycznie, że wiedzą, czego chcą od studiów i co czeka ich po otrzymaniu dyplomu. Wniosek: chyba właściwi ludzie na właściwym miejscu!... Zgodnie z akademicką przetrwaną tradycją życząc miłym studentom złamania karku. I „zaciskam kciuki” za sympatyczną gro madką.

WŁADYSŁAW
BORTNOWSKI

Historycy radzieccy w 50 rocznicę Rewolucji

Prace historyków radzieckich, podejmowane w związku z 50 rocznicą Wielkiej Rewolucji Październikowej, znacznie wyprzedziły rok jubileuszowy. Maszynopisy były już gotowe w latach 1965—1966. Pokażna

ilość zapowiadzianych monografii już ukazała się drukiem; pozostałe bądź nadchodzą do magazynów księgarni radzieckich, bądź też drukarnie pośpiesznie kończą cykl produkcyjny.

Niestety, tylko niektóre z wartościowych pozycji dotyczących wydarzeń rewolucji rosyjskiej znajdują się w naszych księgarniach. Większość prac z tego zakresu jest nieosiągalna dla polskiego czytelnika. Nie wiadomo, gdzie i kiedy można znaleźć poszukiwaną książkę. Nawet biblioteki naukowe nie rozporządzają pełnym zestawem publikacji wydanych w wieloletnich nakładach w ZSRR. Dziwna polityka kolportażu książek radzieckich w Polsce zastępuje na odziele omówienie.

W ramach artykułu niepodobna zreferować całego wysiłku historyografii radzieckiej, podjętego w związku z 50 rocznicą Rewolucji. „Trudności obiektywne” pozwalają jedynie na zwrócenie uwagi na najbardziej wartościowe pozycje, które już ukazały się w ZSRR i przypuszczalnie część spośród nich, choć z opóźnieniem, znajdzie się w naszych księgarniach literatury zagranicznej i Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki.



РЕЛИКОВ
ОТЧЕТЫ
ОБРАТНОСТЕЧНО
ПРЕДОПРЕДЕ

Na czele publikacji jubileuszowych należy postawić trzytomowe dzieło Akademika J. Minca „Historia Wielkiej Rewolucji Październikowej”. Autor, uczestnik rewolucji i wojny domowej, w warunkach pokojowego budownictwa socjalizmu z pasją poświęcił się pracom historycznym. Omawiana monografia jest dziełem jego życia. Dotychczas ukazał się tylko tom I — „Obalenie samodzierżawia”.

Na szerokim tle wydarzeń międzynarodowych autor rozpatruje udział Rosji w I wojnie światowej. Pokazuje, jak pod wpływem klęsk

wojennych i wciąż zwiększających się potrzeb frontu, załamuje się ekonomika rosyjska oraz rośnie ogólne niezadowolenie.

Kryzys gospodarczy, wystąpienia proletariatu, kierowane przez partię bolszewicką, żywiołowy ruch mas chłopskich przeciwko wojnie, aktywizowanie się opozycji burżuazyjnej i załamanie się zaufania podwładnych do przełożonych w armii — wytwarzają sytuację rewolucyjną. Strajk robotników Piotrogrodu staje się owa przysłowiowa iskra wzniecająca pożar rewolucji. W obronie caratu nie występują na wet oddziały kozackie. Okazuje się, że tron utrzymywał się na nadkruchych podstawach, jakimi była policja, ochrana, generalicja, duchowieństwo i wyższy aparat urzędniczy.

Omówienie przebiegu wypadków lutowych w Piotrogradzie, Moskwie, na froncie i dalekich tyłach zajmuję około połowy tekstu. Wiele uwagi poświęca Minc zagadnieniu dwuwładzy. Właśnie fakt równoczesnego istnienia Rządu Tymczasowego (władza burżuazji) i Rad Delegatów Robotniczych i Żołnierskich (organ władzy wyłonionej przez robotników i żołnierzy) pozwala na dalsze rozwijanie rewolucji. Przedstawienie wpływu lutowych wydarzeń w Rosji na sytuację międzynarodową zamyka tom I najbardziej wnikliwego, jak dotychczas, syntetycznego ujęcia rewolucji.

Autor wykorzystał olbrzymią literaturę wydaną nie tylko w ZSRR, ale również i za granicą. Konfrontacja dokumentów archiwalnych pozwoliła mu na uściślenie szeregu faktów dotychczas podawanych jako sporne. Minc nie uchylił się od polemiki z poglądami historyków zachodnioeuropejskich i amerykańskich.

Pozostałe dwa tomy fundamentalnego dzieła Akademika Minca, według radzieckich zapowiedzi wydawniczych, mają ukazać się przed końcem bieżącego roku.

Drugą publikację, o charakterze syntetycznym, obliczoną na stosunkowo szeroki krąg odbiorców, stanowi praca zbiorowa pt. „Historia Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej”, wydana przez Instytut Historii Akademii Nauk ZSRR.

W 1962 roku kolektyw autorów, przeważnie spośród pracowników Instytutu Historii Akademii Nauk, opublikował książkę pod identycznym tytułem. Jednakże edycja 1967 roku nie jest po prostu drugim wydaniem, lecz raczej nową pracą, która wykorzystuje wydanie z 1962 roku, a równocześnie podaje o wiele bogatszy materiał faktograficzny i przedstawia bardziej szeroką argumentację wniosków.

Bazę źródłową dla autorów stanowiły: prasa, literatura historyczna i publikacje źródeł wydawanych w ZSRR. Na materiały archiwalne po-



LEW KOŁODNYI

Lenin dał poparcie

Tramwaje jeździły bez pasażerów. Moskwićanie chodzili pieszo odstępając wagi do przewozu opału i żywności — taką oglądał Moskwę w 1920 r. Wells. Ale nawet w te głodowe dni Radzieckiej Rosji mieszkali w tym czasie w Moskwie ludzie, którzy wszystkie swoje myśli poświęcali idei lotów międzyplanetarnych.

Uczestnicy dyskusji urządzanych w latach dwudziestych przez Muzeum Politechniczne na temat lotów na inne planety, pamiętają człowieka głoszącego z mianickim przekonaniem śmiało słowa: „Naprzód, na Marsa”. Wzywał on, aby niezwłocznie przystąpić do budowy rakiet. Był to inżynier lotniczy, Fryderyk Zander. Pionierzy kosmonautyki odrzucali z niechęcią i ponownie ogłosili autobiografię F. Zandera, a w niej nieoczekiwane słowa:

„W końcu 1920 r. na gubernialnej konferencji wynalazców, gdzie powołano Stowarzyszenie Wynalazców — AIZ (Asocjacja Izobrietatelej), zameldowałem o swoim silniku

i wiele mówiłem o swoim projekcie międzyplanetarnego statku — aeroplanu. W. I. Lenin obiecał mi tam poparcie”.

Lenin poparł budowniczych rakiet. Poparł przyszłość — nasze: dziś. Ale kto może opowiedzieć o spotkaniu Lenina z inżynierem, który stworzył „GIRD — CH”¹⁾ — prototyp „Wostoka-1”? O czym rozmawiał z Leninem nauczyciel tych, którzy dzisiaj wprowadzają na orbity satelity i statki kosmiczne?

Miejsce akcji — Moskwa. Czas akcji — koniec 1920 r. Oto dane wyjściowe do poszukiwań. W gazetach powinny zachować się sprawozdania z konferencji AIZ. Cóż łatwiejszego, jak wziąć zsywkę i prze czytać to, czego nie napisano w autobiografii.

Na transporterze zjeżdżają do sali czasopism Biblioteki im. Lenina, roczniki „Prawdy”, „Izwiestii”, „Za kommunističeskij trud”. Przerzuca kartki zamykające rok 1920: gruz dzień, listopad, zabieram się do października.

— Nie wiem, czy gazety coś pisały, ale Zander pisał — powiedziała mi jego żona, Aleksandra Feokistowa, i pokazała rękopis napisany wiosną 1923 r., jeszcze za życia Lenina.

Na gładkiej kartce cienkiego papieru wyblakły atrament układa się w tytuł: „Raport inżyniera F. A. Zandera o własnym wynalazku: aeroplanie do wylotów z ziemskiej atmosfery i przelotu na inne planety”. Właśnie o tym wynalazku Zander meldował na konferencji.

Charakter pisma czytelny, czyta się lekko. Pośrodku kartki, na zagłębieniu znajome słowo — AIZ.

„Mój projekt — pisze Fryderyk Arturowicz, relacjonując historię swego statku — aeroplanu — został częściowo rozpatrzony, w tym stopniu, w jakim ja go przygotowałem na ten termin, 10 października 1920 roku, przez komisję... a szczególnie silnik — na gubernialnej konferencji wynalazców 30 grudnia 1921 r., gdzie jednocześnie otrzymałem żywe i sukcesowne dalszych poszukiwań w zamierzonym kierunku”.

Na transporterze znowu zjeżdżają zsywki, tym razem za rok 1921. Teraz szybko znajduję ślad.

Poprzedniczka „Moskiewskiej Prawdy” — moskiewska gazeta „Za kommunističeskij trud”, organ MK RKP(b) i Moskiewskiej Rady, 29 grudnia 1921 r. ogłaszała:

„29 grudnia o drugiej po południu, w Białej Sali Moskiewskiej Rady RK i KD, rozpoczęła się gubernialna konferencja wynalazców. Tam też nastąpiła rejestracja mandatów od 9 1/2 rano”.

Następnego dnia na szpaltach kroniki opowiada się o otwarciu konferencji. A „Gudok” opublikował nawet reportaż swego korespondenta, zacytowany „Konferencja wynalazców (Wrażenia)”.

Co zdarzyło się następnego dnia, 30 grudnia, kiedy Zander wystąpił z raportem?

W kolejnym numerze „Gudok” nie daje ani wzmianki o konferencji, inne gazety — tak samo. Ani linijki. Stronice zapelnione są sprawozdaniami z innych zebrań, innymi wiadomościami. Dopiero 3 stycznia „Izwiestija”, a potem „Prawda” publikują małą notkę złożoną nonparelem:

„Pierwsza w Rosji moskiewska gubernialna konferencja wynalazców, obradująca obecnie w Moskwie, zwróciła się przez radio z pozdrowieniami do wszystkich zagranicznych kolegów i ich organizacji”.

Oznacza to, że konferencja AIZ trwała nie jeden dzień, znaczy to, że 30 grudnia Zander wystąpił z raportem.

Czy tego dnia Włodzimierz Iljicz przebywał w Moskwie? Gazety milczą na ten temat.

Co wiadomo o dniu 30 grudnia 1921 r. w Instytucie Marksizmu-Leninizmu?

— Od 6 grudnia 1921 r. W. I. Lenin otrzymał zwolnienie chorobowe i wyjechał do Gorki — poinformowano mnie w oddziale biograficznej kroniki Lenina, w Instytucie Marksizmu-Leninizmu.

Gabinet Lenina w Radzie Komisarzy Ludowych opustoszał. Ale większe i mniejsze kłopoty bez specjalnych trudów znajdowały drogę do Gorki. Często dzwonił telefon, nadchodziły materiały.

Nie zważając na zwolnienie, 23 grudnia 1921 r. Włodzimierz Iljicz przyjechał do Moskwy i występował na IX Zjeździe Rad. To ogólnie znany fakt. A 31 grudnia brał udział w posiedzeniu Biura Politycznego.

Oczywiście, Zjazd Rad i posiedzenie Politbiura, a gubernialna konferencja wynalazców, to dwie zupełnie różne sprawy. Czy Lenin mógł w czasie urlopu wysłuchiwać raportów moskiewskich wynalazców, czy mógł po zaśnieżonej trzydziestokilometrowej drodze wybrać się z Gorki do Moskwy, aby uczestniczyć w posiedzeniu AIZ w Moskiewskiej Radzie?

Zapoznaję się ze wspomnieniami starych wynalazców.

Ja powolałam się tylko na jedno świadectwo. Akima Nikołajewa, członka partii od 1904 r., który niejednokrotnie wykonywał osobiste polecenia Lenina. Piszę on:

„Włodzimierz Iljicz ogromnie interesował się technicznymi osiągnięciami i nowinkami. Jest rzeczą zdumiewającą, w jaki sposób przy nieustannym zajmowaniu się najważniejszymi sprawami, znajdował czas, aby śledzić rozwój techniki”.

„Wynalazcy — to szczególni ludzie, mają swoje dziwactwa, często ich nie rozumiemy, ale trzeba cierpliwie ich wysłuchać” — mówił Lenin.

Czy w archiwach nie zachowały się jakieś ślady po konferencji wynalazców?

ZESPÓŁ NR 2592

Ponumerowaneteczki archiwum kryją wiele niezbadanych tajemnic. Zespół AIZ Nr 2592. Sprawy osobiste wynalazców od „C” do „Ja”. Otwieram okładkę teczek i już na pierwszej stronie spotykam się z Zanderem, z jego ankietami.

W AIZ lubowali się w ankietach, przy każdej osobistej sprawie jest ich po dwie, a pytań około setki.

Napięty dialog Ankieta — Wynalazca, rozwija się na czterech stronach, jak w sztuce z czterech aktów, a pytania i odpowiedzi, jak epizody dramatu opiewającego o buziwym i trudnym życiu twórców „ponadczasowych silników” i udoskonalonego języka rosyjskiego, szybówców — ornitopterów i instrumentu muzycznego „Klawiola”. Najbardziej zadziwiające odpowiedzi można przeczytać w ankietach moskiewskich wynalazców. Ale wśród paradoksów i niepowstrzymanej fantazji, odpowiedzi Zandera w r. 1921, wydają się najbardziej zadziwiające.

Zacytuje z dialogu Ankieta — Zander, tylko trzy fragmenty.

Ankieta: Nazwa Pańskich najbardziej istotnych wynalazków?

Zander: Aeroplan do lotów w wyższych warstwach atmosfery i przelotów na inne planety oraz silnik do niego.

Ankieta: W jakiej dziedzinie byłoby najbardziej celowe ich zastosowanie?

Zander: W dziedzinie budowy międzyplanetarnych statków.

Ankieta: Jakiego gatunku wynalazczości uważa Pan za najważniejszą i najpilniejszą?

Zander: Najważniejsze: loty na inne planety, w celu przeniesienia kultury z innych systemów słonecznych.

W ankiecie Zandera znajduje się wzmianka o gubernialnej konferencji: „Czy istnieje opinia kompetentnych gospodarczych albo odpowiedzialnych organów o użyteczności przedstawionych przez Was wynalazków?”

Tak. 1) Gubernialna konferencja wynalazców rozpatrzyła projekt silnika do statku międzyplanetarnego; 2) Komisja w składzie: naczelnik oddziału technicznego P. A. Moisiejew, główny inżynier fabryki „Motor”, N. W. Okromiesko, 17. VII. 1922 r. podpisała dokumentację na statek międzyplanetarny”.

FABRYKA „MOTOR”

Kręta szosa, wznosząc się w górę, prowadzi tam, gdzie podpisano „Dokumentację na statek międzyplanetarny” — do fabryki „Motor”. Po starych zakładach lotniczych została tylko nazwa. Tylko opowieść byłego głównego inżyniera „Motoru”, N. W. Okromieskiego (tego, który podpisał „Dokumentację na statek międzyplanetarny”) pozwala zobaczyć to, co nieodwracalnie przeszło do historii.

Fryderyk Arturowicz opowiadał mi, że meldował o projekcie statku międzyplanetarnego samemu Leninowi. Wszyscy w fabryce wiedzieli, że Zander przyspiesza zakończenie swoich obliczeń, aby w ostatecznym kształcie, przedstawić je Leninowi.

Po pracy i przed nią, nie wystarczało mu czasu na zajmowanie się sprawami międzyplanetarnymi. Zander wysłał zawiadomienie z prośbą o... zwolnienie go ze służby.

— Lenin dał poparcie, ale jak my możemy pomóc? — mówiło się w „Motorze”. Komitet Zakładowy podjął decyzję, że nie zwolni Zandera z pracy, tylko da mu dłuższy urlop i dwumiesięczną płacę. Niechaj szybko zakończy swój projekt.

„Była to pierwsza oflara na rzecz komunikacji międzyplanetarnej” — pisał później Zander w swojej autobiografii. Uczynili ją moskiewscy robotnicy w 1922 r.

Nieśmiały inżynier fabryki „Motor” wydawał się wszystkim znajomym, odludkiem i milczkiem. Ale jakże on się zmieniał, kiedy mówił o Marsie.

— Pamiętam, jak Zander wrócił z posiedzenia, w którym brał udział Lenin. Zebraliśmy się wszyscy w komitecie partyjnym.

I tutaj, w fabrycznym partkomie, wysłuchaliśmy opowieści o tym, jak Lenin rozmawiał z Zanderem. Rozmawiali o lotach na Marsa.

Wszystkich nas wtedy, w partkomie zdziwiło, że Włodzimierz Iljicz znalazł czas, aby rozmawiać o lotach na gwiazdy: przecież do pracy chodziliśmy pieszo, nie wystarczało energii elektrycznej dla tramwajów i paszy dla koni.

Oto opowieść byłego sekretarza komórki partyjnej fabryki „Motor”, członka KPZR od r. 1918, A. M. Czernowej.

A co opowiada o spotkaniu z Leninem ci, którzy brali udział w gubernialnej konferencji Stowarzyszenia Wynalazców, 30 grudnia 1921 r.?

Analizując swój skład, AIZ w 1923 r. poinformowało, że w jego szeregach można znaleźć członków „od strażaka do księdza, od komunisty do działacza Armii Zbawienia, od poszukiwacza złota do profesora z trzema dyplomami”. Czy żyją jeszcze ludzie, którzy czterdzieści kilka lat temu uczestniczyli w konferencji wynalazców? Z ankiet dowiedziałem się o rozwoju AIZ: należących do Stowarzyszenia od lat dwudziestu, naliczyłem wszystkich jeden procent.

Były członek AIZ, 78-letni A. G. Kuroczkin, w dniu naszego spotkania zajęty był montażem magnetyczno-wibracyjnego siła w Moskiewskiej Fabryce im. Kalinina.

— Na konferencji, jak pamiętam, byłem. Posyłał mi noworożecze życzenia Leninowi. Ale osobiście z nim się nie spotkałem.

— Tylko pierwszego dnia prac, zebraliśmy się razem, a potem obradowaliśmy w sekcjach, zgodnie ze specjalizacją — powiedział mi inny uczestnik konferencji — N. A. Mierietjakow. Krag zamknął się. A więc Zander składał swój raport niewielkiej grupie ludzi, zasiadających w sekcji.

W spisie członków AIZ odnalazłem dwóch moskiewiczów: J. Rappaporta i A. Czyżewskiego, którzy zajmowali się żegluga powietrzną i kosmonautyką. Czy przypadkiem nie byli oni świadkami spotkania Lenina z Zanderem?

Inżynier Rappaport nie uczestniczył w konferencji wynalazców, przed Nowym Rokiem wyjechał do Leningradu.

Dom na jednym z niezliczonych ostankińskich pierleutków. Tutaj właśnie nastąpiło spotkanie z „profesorem posiadającym trzy fakultety”, bo to właśnie o nim mówi się w archiwalnym sprawozdaniu AIZ.

Profesor Aleksander Leonidowicz Czyżewski — uczonego światowego nazwisku, autor wielu fundamentalnych prac, wydanych w ZSRR i za granicą.

— Byłem uczestnikiem I gubernialnej konferencji. Tak, Lenin kiedyś przyjechał. Było to tego dnia, gdy występował Zander.

Usłyszałem opowiadanie świadka tego spotkania.

„Jeszcze na długo przed konferencją młody Czyżewski zaprzyjaźnił się ze swoim ziomkiem, Konstantym Eduardowiczem Ciołkowskim.

Od tej pory, wszystko co miało związek z podróżami międzyplanetarnymi, rakietami i balonami, interesowało młodego moskiewczanina, byłego kałużanina, o wszystkich nowinach, których dowiadywał się w Moskwie, zawiadamiał Kaługę. Zander mówił na temat, który był tematem życiowym Ciołkowskiego.

Raport został zakończony, wynalazcy odczytał Włodzimierz Iljicz. Było widoczne, że raport Zandera zainteresował Lenina. Włodzimierz Iljicz zapytał: Jak rząd mógłby pomóc w tych pracach? Zander odpowiedział: Należy budować odrzutowe silniki, a do tego potrzebne jest laboratorium.

— Pomóżmy wam w tym — powiedział Włodzimierz Iljicz potrzysajac na poeznkanie rękę Zandera.

Włodzimierz Iljicz obiecał poparcie. To znaczy, że wierzył w nowe dzieło. Jego słowa były pomocą tak niezbędną dla entuzjastów: w minutach niepewności, kiedy poszukiwania nie dawały rezultatu, kiedy przepalały się silniki i kolejna tajemnica opinata nieprzeniknioną zasłona drogę w kosmos. Ale ci, co szturmowali niebo, okazali się zwycięzcami w pojedynku z kosmosem.

Oto wszystko, co dotychczas wiadomo o zdarzeniu, które w biografii Włodzimierza Iljicza Lenina ujęto tak:

„Ogromne zainteresowanie Lenina wywarła praca F. A. Zandera, jednego z następnych Ciołkowskiego w dziedzinie budowy silników rakietowych do lotów międzyplanetarnych. Włodzimierz Iljicz rozmawiał z Zanderem i obiecał poparcie jego pracy. Spotkanie z Leninem zrobiło na uczonego wielkie wrażenie”.

Poszukiwania trwały. Szperacze i dziennikarze szukali nowych dokumentów, nowych ludzi, którzy mogliby uzupełnić zamuzyk obraz spotkania Lenina i Zandera.

PRZEŁOŻYŁ: KONRAD FREJDLICH

1) GIRD — Grupa Izuczenia i Reaktywności Dwieńcia (Oddział Badań Ruchu Odrzutowego).

2) WSNCH — Wyższy sowiet narodowo-chajzajstwa (Wyższa Rada Gospodarki Narodowej).

wolują się oni rzadko. Książka w przeciwieństwie do pracy Akademika Minca nie posiada akcentów polemicznych, a poglądy własne autorzy traktują, jako jedynie obowiązujące.

Omawiana monografia jest bogato ilustrowana. Wybrano zdjęcia dotychczas mało znane, ale nie pokazano w formie graficznej ówczesnych sytuacji z udziałem przywódców partii i rad.

Chronologia wydarzeń od 27 lutego 1917 do 18 stycznia 1918 r. została nakreślona przez L. Gawritowa i W. Kutuzowa w książeczce skromnej, jeśli chodzi o objętość, lecz bardzo przydatnej, zwłaszcza dla nauczycieli i młodzieży, pt. „Wielki Październik”²⁾. Autorzy dzień po dniu notują najważniejsze wypadki w ówczesnej Rosji, uwzględniając rozwój sytuacji w Piotrogradzie, Moskwie, na froncie i w ważniejszych ośrodkach prowincjonalnych.

Autorzy umiejętnie wykorzystali pięciotomową kronikę wydarzeń, opublikowaną w latach 1957—1962 przez Instytut Historii Akademii Nauk ZSRR. Omawiany skrót jest zredagowany przejrzysto. Podano fakty rzeczywiście najważniejsze dla rozwoju sytuacji w Rosji. Wskutek tego czytelnik otrzymuje obraz oddziaływania wydarzeń w Piotrogradzie i Moskwie na nastroje i posunięcia lokalnych władz w ośrodkach prowincjonalnych i na froncie.

Rady Delegatów Robotniczych, Żoł

nierskich i Włościańskich były w 1917 r. szkoła polityczna mas rosyjskich. Wciągały je w wir wydarzeń, a równocześnie uczyły te wydarzenia kształtować zgodnie z interesami klasowymi. Wyjaśnienie roli Rad w przygotowaniu Wielkiej Rewolucji Październikowej znajdujemy w monograficznym opracowaniu A. Andriejewa „Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich w przeddzień Października”³⁾.

Koncentrując uwagę na działalności najważniejszych Rad Moskwy i Piotrogradu, autor przedstawia także formowanie się i działalność tych najbliższych ludowi organów władzy na prowincji i na froncie. Szczególnie interesujące wypadły rozdziały IV i V, opisujące proces bolszewizacji Rad, zerwanie robotników i chłopów z partiami ugodynymi, mienszewikami i eserami oraz dające obraz narastającego zaufania i czynnego poparcia dla bolsewizmu. W praktyce słabość partii ugodynych okazała się to, że po opanowaniu Rządu Tymczasowego (mał 1917), usiłowały one poprzez swoje frakcje w Radach wymusić posłuch i poparcie mas dla skompromitowanego rządu, który nie chciał zrealizować ówczesnych podstawowych żądań robotników i chłopów, prowadził bowiem dalej morderczą wojnę w boku imperialistycznych sojuszników oraz wstrzymywał się nawet od ograniczonych reform agrarnych.

Program partii bolszewickiej był bliski robotnikom, żołnierzom i chłoj.

pom, stał ich masowe poparcie dla partii uważanej jako „nasza partia”.

Autor wykorzystał nie tylko wszelkiego rodzaju druki (opracowania, prase, ulotki, broszury propagandowe, publikacje źródła), lecz również i bogate materiały archiwalne. We wstępie omówił literaturę przedmiotu wydaną poza granicami ZSRR i przeciwstawił się w sposób udokumentowany twierdzeniom zarówno historyków z obozu białej emigracji, jak i historiografii anglo-amerkańskiej (s. 21—25). W stosunku do prac wydanych wcześniej w Związku Radzieckim, wprowadził szereg uściśleń i poprawek.

Omawiana monografia Andriejewa jest pozycją wartościową. Stanowi wkład naukowy do badań nad bezpośrednią genezą rewolucji październikowej i kształtowaniem się nastrojów mas rosyjskich w tym okresie.

Próbie przerzucenia pomostu pomiędzy naszym dzisiejszym, a wypadkami sprzed pięćdziesięciu lat, stanowią dwa zbiory wspomnień uczestników wydarzeń „Październik na froncie”⁴⁾ oraz „W ogniu walk rewolucyjnych”⁵⁾.

Autorami są robotnicy, żołnierze i działacze partii z 1917 roku. Przeszli oni wojnę domową, w wielu wypadkach brali udział w zmaganiach z hitlerowskim najazdem; osiągnęli wysokie stanowiska i powszechny szacunek. Ich wspomnie-



Historia Wielkiego Oktjabra

nia powstały w różnym czasie. Niektóre były już publikowane, inne zostały udostępnione po raz pierwszy. Na podkreślenie zasługi staranna korekta historyczna dokonana w przypisach i częściowo we wstępach do obu prac.

Niestety, pamięć z perspektywy lat deformuje wydarzenia pomimo woli piszącego. Dlatego korekta historyczna i komentarz materiałów pamiętnikarskich są konieczne i w wypadku sygnalizowanych pozycji wydawcy nie uchylił się od tego obowiązku. Natomiast wspomnienia, nawet z tak odległych lat, przybliżają do współczesnego czytelnika

„klimat” owych minionych czasów; przedstawiają szczegóły i sytuacje, które nie znalazły odbicia w źródłach. Literatura pamiętnikarska ma znaczne grono zwolenników i jest łatwiejsza w czytaniu od ściśle naukowych opracowań historycznych.

Zasygnalizowałem tylko niektóre pozycje bogatej radzieckiej literatury historycznej, wydanej w związku z 50 rocznicą Rewolucji. Nie uwzględniłem dużej ilościowo publikacji historycznej, prac popularnych i broszur informacyjno-propagandowych.

Książka Andriejewa już znajduje się w naszych księgarniach. Oby i inne zasygnalizowane w artykule prace, jak najprędzej zostały udostępnione polskiemu czytelnikowi.

Przypisy

1) Minc I. Istoria Wielkiego Oktjabra, t. I, izdatelstwo „Nauka”, Moskwa 1967 ss. 830.

2) Istoria Wielkiej Oktjabrskoj Socjalistycznej Rewolucji, pod red. P. Sobolewa, Moskwa 1967, ss. 672.

3) Gawritow L. i Kutuzow W. Wielki Oktjabr. Ietopis' ważniejszych sobytij, Moskwa 1967, ss. 160.

4) Andreev A. Sowiety robotnicze i soldierskie deputatów nakanunie oktjabra, mart-oktjabr' 1917 god, Moskwa 1967, s. 424.

5) Oktjabr' na froncie, wspomnienia, pod red. P. Goluba, Moskwa 1967, ss. 294.

6) W ognie rewolucyjnych bojów, sbornik wspomnień starych bolszewików, Moskwa 1967, ss. 384.

Dwa dwudziestolecia

Dalszy ciąg ze str. 1

ratury radzieckiej wynikało nie tylko z poetyki. „Kulturbolszewizm” był w pewnym sensie prądem ideologicznym, prądem nawet politycznym, tzn. modą na liberalną w swoim charakterze lewicowość. Stąd się brały nastroje lewicowe, sympatie dla strajków, dla klasy robotniczej. Teraz chcę przejść do paru konkretnych: literaturę radziecką braliśmy nie tylko z księgarń, ale i dostarczano nam ją drogą nielegalną. Miałem kumpla, Ignasia Fika, który dostarczał mi książki w przekładzie polskim, ale wydane w Związku Radzieckim. Bywałem gościem na pokazach filmowych w konsulacie radzieckim. Nie było to podówczas dobrze widziane i na zebraniach te musiałem się przemącać. Widziałem tam filmy Dobrzeńki, których przed wojną na naszych ekranach nie wyświetlano. Widziałem tam Eisensteina, którego przed wojną w Polsce nie było. W konsulacie był pracownik, który pod rzucał nam książki radzieckie. Słowem, przed wojną zainteresowanie literaturą radziecką we Lwowie było bardzo żywe. Niektóre rzeczy można było kupić, inne dostawaliśmy nielegalnie. „Kulturbolszewizm” miał swoje zapleczenie nawet w klubie filmowym „Awangarda”. Bardzo ożywił tę działalność Leon Schiller, wprowadzając dyskusje nad literaturą radziecką. A potem zaczęły się nawet dyskusje naukowe. Szum było dużo, byłem jednym z tych, którzy robili ten szum na humanistycznym, wokół nowatorstwa historycznego w „Piotrze I” Aleksieja Tołstoja. Było to zjawisko spontaniczne.

JAN KOPROWSKI: Spróbujmy określić źródła tego zainteresowania literaturą radziecką w owym czasie.

JAN HUSZCZA: Mogę mówić tylko na podstawie osobistych doświadczeń i spostrzeżeń. Wyjdźmy od tego, że inaczej smakuje owoc zakazany, a inaczej owoc polecany. Po drugie: było w tym na pewno i naturalne zainteresowanie sasiadem, u którego dzieje się coś nowego. Sasiadami każdy rozsądny człowiek powinien się zawsze interesować. Po trzecie: sprzyjał temu radykalizm społeczny, nastroje radykalne, lewicowe, które, zwłaszcza w młodszych środowiskach, były wyraźne. Nie zapominajmy przecież, że kiedy przyszedł okres Frontu Ludowego, pisarze rozmaitych pokoleń składali deklaracje o swoim przystąpieniu do Jednolitego Frontu pisarzy lewicowych. Wychodziło wówczas wiele efemerycznych wydawnictw, pism radykalnych i fakty te pogłębiały obraz zainteresowań literaturą radziecką.

MARIAN PIECHAŁ: Nie zgadzam się z kol. Huszczą tylko w jednym — że literatura radziecka była w okresie międzywojennym w Polsce zakazana. Dowodem tego może być fakt, że przysięgli przedstawiciele obozu sanacji w literaturze, Juliusz Kaden-Bandrowski, napisał wstęp do wyboru noweli autorów radzieckich, wstęp bardzo pozytywny, stawiający za przykład tamtych pisarzy, ich stosunek do życia, w ogóle — do współczesności. Nie było dzieła bardziej wybitnego, bardziej głośniego, które by nie zostało natychmiast przetłumaczone na język polski. Mówimy znali tę literaturę. Wydawano nawet rzeczy czysto polityczne. Oczywiście, że oficjalnie nie były to rzeczy propagowane. W prasie literackiej, przeważnie niezależnej od polityki rządu, ukazywały się recenzje, analizy zjawisk radzieckich, a więc trzeba tu powiedzieć, że tamto dwudziestolecie i bod tym względem również się zażyło. To nie była pustynia na odcinku literackim. Należy także zwrócić uwagę na teatry, na film. Najwybitniejsze dzieła radzieckie były znane właśnie z sal kinowych i z teatrów. Mnie się wydaje, że międzywojenne dwudziestolecie dokładnie się orientowało w bieżącej ówczesnej literaturze radzieckiej.

JAN HUSZCZA: Sądę, żeśmy się nie zrozumieli. Pojęcia „owoc zakazany” użyłem w innym znaczeniu. Był to owoc szczególnie kuszący, a jednocześnie nie zawsze dobrze widziany. Słowa M. Piechały, że literatura ta była dostępna, są prawdą. Czasem mówiło się u nas, że Polacy są antyrosyjscy. Otóż ja osobiście tego zjawiska nigdy, ani przed wojną, ani po wojnie nie zaobserwowałem. Były konflikty polityczno-społeczne, co jest zrozumiałe, natomiast nie było konfliktu typu narodowościowego. Pamiętam, że nawet oficerowie polscy w knajpach, kiedy już sobie popili, żądali piosenek rosyjskich. Mówiłem więc o posmaku owocu zakazanego, a nie o tym, że to owoc niedostępny.

BOLESŁAW LEWICKI: To nie był owoc zakazany, lecz owoc obrzydzący.

MARIAN PIECHAŁ: Przez oficjalne czynności przekłady literatury radzieckiej i zainteresowanie nią nie było dobrze widziane. Wydawnictwa prywatne wydawały te pozycje nie z sentymentu, lecz ze względu na dobry interes. Największymi nakładami cieszyły się właśnie przekłady radzieckie. Ważniejszą rzeczą wydaje mi się, jak polska publiczność czytelnicza przyjmowała te rzeczy. Otóż trzeba powiedzieć, że przyjmowała je gorąco. Bo literatura radziecka przynosiła wieści z części świata, który budował nowy porządek. Oczywiście, wśród tych przekładów było dużo rzeczy niedobrych artystycznie. Jednak one ciekawiły, bo nas wzbogacały o nowe treści. Szczególnie wśród inteligencji lewicowej, radykalnej literatura ta cieszyła się wielkim wzięciem, wpływała na polską literaturę. Taki Broniewski powstał z Jesienina, tłumaczył go zresztą. Grupa „Przedmieście” była odbiciem inicjatyw radzieckich. Literatura nasza, nasz świat twórczy, dużo zawdzięcza literaturze radzieckiej, a także i radzieckiej plastyce. Nie wyobrażam sobie Strzemińskiego bez porwołucyjnych ruchów radzieckich, bez konstruktystów radzieckich. Jeśli chodzi o film i teatr — to, co się działo w Związku Radzieckim, rewolucjonizowało teatr polski od strony samej treści. Np. Schiller — jego kolebka jest Kraków, Zielony Balonik, ale późniejsze rzeczy dojrzałe w nim, kształtowały się najpełniej pod wpływem teatru radzieckiego. W Polsce zainteresowanie sztuką radziecką nie było jakimś wybuchem. Wynikało to z tradycji polskiej, sięgającej czasów przedrewolucyjnych. Najbardziej zaakcentował to Norwid, który w okresie Powstania Styczniowego pisał, że musimy się zająć kulturą rosyjską, dziełami rosyjskimi, edyż musimy wzajemnie się poznać, jesteśmy bowiem skazani do końca dziejów na siebie. Polski świat intelektualny był najbardziej czuły na dwie wielkie kultury: na kulturę francuską i na kulturę rosyjską.

KAROL BARANIECKI: Jestem karykaturzystą. Jako młody człowiek szukałem dróg. Po roku 1930 zaczynał się kryzys i człowiek zaczynał zastanawiać się nad przyczynami tego kryzysu. Jak wiadomo, legitymacja bezrobocia miała kolor różowy. Narysowałem tłum bezrobotnych, nad nimi różową legitymację, a pod rysunkiem podpis: — „Przed nami różowa przyszłość”. Był to rok 1935. W tygodniu po ukazaniu się rysunku otrzymałem list z redakcji — „radzimy unikać tematów zbyt drażliwych, gdyż może to zaszkodzić zarówno redakcji, jak i panu”. Stopniowo zacząłem szukać kontaktu z różnymi pismami, zacząłem również interesować się literaturą radziecką. Ktoś, kto był wówczas zainteresowany tematyką radziecką, mógł ją znaleźć w różnych jednodniówkach. Również w księgarniach można było dostać i „Cement” Gładkowa i „Czasie napróżd” Katięjewa i „Cichy Don” Szolochowa i wiele innych. W kinie można było oglądać „Petersburskie noce”, „Świat się

śmieje”, „Wołga, Wołga”, a później nawet film „Żywy trup” według Tołstoja, w którym grał sam Pudowkin. W teatrze wystawiano „Człowieka stepu”. W Krakowie wychodziła „Gazeta Artystów” i gdy do Związku Radzieckiego pojechała delegacja, w składzie: Dąbrowski, Daszewski i Krasnowiecki, reperkusje ich podróży były bardzo ciekawe. Właśnie w tej „Gazecie Artystów” ogłoszono artykuł „Biomechanika” Meyrholda, a Władysław Dobrowolski wygłaszał odczyty o Tairowie. Jak z tego widać, choć ruch ten nie był pielęgnowany przez czynniki oficjalne, to jednak stale rósł.

MARIAN PIECHAŁ: Wszelkie grupy powstawały w Polsce na zasadach pewnego radykalizmu, wzorowanego na radzieckich objawach w literaturze.

JAN HUSZCZA: Sprzyjały temu wizyty. Odwiedzili Polskę: Majakowski, Ilf, Pietrow.

MARIAN PIECHAŁ: Nie było w Polsce młodego poety, który by nie był zarazem tłumaczem, zwłaszcza Majakowskiego, Jesienina, a potem Pasternaka. Znano także Achmatową i Cwietajewą. Pamiętam przekłady utworów radzieckich przez młodych literatów polskich, które były przedmiotem wielogodzinnych nocnych dyskusji. Tak np. „Cement” Gładkowa wywołał niesłychane zainteresowanie wśród młodych środowisk twórczych, zwłaszcza w Łodzi. Łódź była szczególnie wdziecznym odbiorcą literatury radzieckiej. Teatry łódzkie pierwsze wystawiały sztuki radzieckie przy pełnej widowni. Na te sztuki przyjeżdżano z innych miast. Tutaj Wandurski zorganizował „Scenę Robotniczą”, wzorowaną na teatrze radzieckim i scena ta próbowała wystawiać pewne sztuki radzieckie.

JAN HUSZCZA: Chciałbym przypomnieć, że na terenie Lwowa istniało współzycie pisarzy i artystów polsko-ukraińskich. Dowodem chociażby numer „Sygnałów”. Z kolei w Wilnie istniały zawsze próby utrzymywania kontaktów z białoruskimi twórcami, a także z żydowskimi. W Wilnie, w dwutygodniku „Po prostu”, drukowaliśmy w oryginale wiersze białoruskie, nie mówiąc już o przekładach.

BOLESŁAW LEWICKI: Po roku 1936 nastąpiło pewne załamanie tego stanu rzeczy. Niektórzy działacze dostali się do więzienia. A tak zwani „kulturbolszewicy” znaleźli się trochę w próżni. Zaczęło być piekielnie ostro. Cenzura rydzowska wzięła się ostro do rzeczy.

MARIAN PIECHAŁ: Szolochow, mimo zastrzeżenia cenzury, wychodził do 1939 roku. Razem ukazało się 7 tomów „Cichego Donu”.

JAN KOPROWSKI: Z tego, co koledzy po wiedzy, otrzymaliśmy już sporo materiału na temat zainteresowania literaturą radziecką w okresie międzywojennym, może byśmy teraz parę minut poświęcili na uwagi, dotyczące sytuacji dzisiejszej. Czy jesteśmy dostatecznie zorientowani w literaturze radzieckiej, w tym, co jest u nich najistotniejsze?

MARIAN PIECHAŁ: Nie jestem przekonany, że znamy wszystko. W każdym razie

ja odczuwam, że w Związku Radzieckim są dzieła i twórcy, o których my słyszymy, jednak ich przekładów nie znamy.

JAN HUSZCZA: Muszę stwierdzić, że ciągle trudno jest o oryginały utworów radzieckich, mimo że mamy Kluby Międzynarodowej Prasy i Książki. Nie mam u siebie w zbiorach Cwietajewej, Chlebnikowa, a jeśli — to jakiś tomik wydobyty gdzieś z antykwariatu. Nie mamy wielu książek z bardzo bujnego, ciekawego okresu literatury radzieckiej, tzn. z lat dwudziestych. W zasadzie jednak uważam, że obraz literatury radzieckiej jest dzisiaj o wiele pełniejszy, niż dawniej. Nie zapominajmy, że wiele książek, a nawet niektórzy pisarze, przez długie lata skazani byli na zapomnienie, że w tej chwili trwa wielka rewindykacja, i że my coraz bardziej będziemy się stawali odbiorcami tych rewindykowanych wartości.

Obraz literatury radzieckiej, widziany z perspektywy polskich tłumaczeń, staje się coraz bogatszy.

BOLESŁAW LEWICKI: Przed kilku dniami miałem okazję zobaczyć sztukę Jewtuszenki, napisaną z okazji Rewolucji. Jest to bardzo ciekawa historia, doprowadzona aż do dzisiejszych czasów, pełna b. ostrych akcentów, która dla mnie była zaskoczeniem.

MARIAN PIECHAŁ: Przyczyny tego, przy najmniej w moim odczuciu, że przed wojną więcej znaliśmy literaturę radziecką, niż dziś, tkwią w tym, że przed wojną literatura ta była szczuplejsza. Zналиśmy tylko pisarzy rosyjskich, ukraińskich i białoruskich. Ale literaturę obudzonych narodów Związku Radzieckiego, albo jeszcze nie było, albo znajdowały się one dopiero w powijkach — i myśmy ich nie znali. Teraz narody te dochowały się własnej literatury, własnych wybitnych nierz postaci. Ale właśnie literatury tych obudzonych narodów nie znamy jeszcze należycie. A nie znamy dlatego, bo nie zna się języków tych narodów. Można wprawdzie tłumaczyć za pośrednictwem języka rosyjskiego, lecz to już nie jest to, co tłumaczenie z oryginału. Bedac na Syberii, zetknąłem się z literaturą jakucką — oni już mają bardzo wybitnych literatów. Czekam na dużą pracę, aby poznać w pełnym znaczeniu i w całej szerokości, literaturę narodów Związku Radzieckiego.

KONRAD FREJDLICH: W czasie swego pobytu w Związku Radzieckim w ub. roku, stwierdziłem, że jeśli chodzi o przekłady z języka rosyjskiego u nas w Polsce, są one jeszcze często przypadkowe. Nikt chyba nie śledzi tej literatury dokładnie. Druga sprawa — najwybitniejsze poezje poetyckie znamy albo bardzo fragmentarycznie, albo nie znamy ich wcale. Nie mamy pełniejszej antologii współczesnej poezji radzieckiej.

JAN KOPROWSKI: Kolega Frejdllich ma rację tylko częściowo, albowiem mimo pewnych paradoksalnych zjawisk w przyswajaniu literatury radzieckiej, sprawa przekładów jest u nas uporządkowana, prowadzona systematycznie, a ponadto ukazują się również nasze oryginalne opracowania problematyki literatury radzieckiej, które często stoja na wysokim poziomie. Dla każdego więc, kto się ta literatura interesuje, materiału w języku polskim jest pod dostatkiem.



Fot. M. Biełousow

List z Budapesztu

CZCIGODNY PANIE REDAKTORZE!

Budapeszt, w przeciwieństwie do wielu szacownych grodów, jest miastem zupełnie niepoważnym, powiedziałbym, operetkowym (nie kryje się tu broń Boże, żadna aluzja do poziomu artystycznego i powagi naszej wspaniałej Operetki). Jakżeż bowiem w samym środku szanującego się miasta rosnąć sobie może autentyczna góra, stroma i skalista. Na górze jest stara, groźna cytadela, a w cykadeli, wcale nie muzeum, jak sobie zapewne Pan Redaktor wyobraża, ale piękna knajpa z winem i cygarami. Tak to ci nasi bratankowie własnej historii należycie nie szanują, wino, muzykę i śpiew nade wszystko mitując. Prawdę mawiają, że w każdym innym mieście służy przykładnie do chodzenia. A tu jakiś nieznany scenograf zawiesił je nad pięknym, modrym Dunajem gwoli radości oczu. Czemu ma to służyć — pytam się, panie redaktorze. Czy mosty to czeska sztuka biżuteria, żeby nimi zdobić miasto? Ten niepoważny stosunek do rzeczywistości zauważyć można na każdym kroku. Nawet baszty obronne zbudowano w Budapeszcie wyłącznie ku ozdobie miasta i uciechu turystów. Czy to przystoi? Zapewniam Pana, że to nie jest poważna stolica, na jaką zasługuje poważny kraj — lecz miasto z jakiegoś „krajnie uśmiechu”. Wszystko w Budapeszcie jest pełne secesyjnego wdzięku i urody, wszystko jest uśmiechnięte: rzeka, niebo, mosty, a nawet ludzie. Brzmi to nieprawdopodobnie, a jednak jest prawdziwe. Nasi rodacy skłonni są wierzyć, że Węgry uśmiechają się tylko do nich. Na własne oczy widziałam jednak, że uśmiechają się do wszystkich — i to bez żadnych ukrytych myśli. Jak Pan, człowiek światły i bywający w różnych kulturalno-społecznych środowiskach, ocenia podobne, aż niewiarygodne zjawisko? Nie zatem dziwnie, iż nasi rodacy natychmiast na znaczne trudności w przystosowaniu się do klimatu powszechnie uprzejmości i życzliwości. Nie wiem jak brzmi słowo kultura w języku węgierskim, ale wiem, że dopiero w tym kraju nabiera ono właściwego znaczenia. Węgry są bowiem ludźmi naprawdę kulturalnymi.

Niech Pan sobie wyobrazi, Panie Redaktorze, że wszyscy wokół Pana są tacy mili, uprzejmi, uśmiechnięci. W tramwaju, na ulicy, w sklepie, nawet w redakcji. Lyso Panu, co? Przecież to niepoważne i niegodne statecznych obywateli. Zupełnie jak w operetce, a nie jak w życiu, które zgodnie ze znanym porządkiem, musi być brutalne. To tak jakby kelnery zmienili się nagle w wytwornych „baronów cygańskich”, ekspedientki w „bra-

biny Marice”. Życie płynie w taki walec, muskane łagodnymi podmuchami „swoobodnego wiatru”. Strach pomysłić.

Zjawiskiem równie niepoważnym są kawiarnie budapeszteńskie. Któż to w Polsce (poza Krakowem — grodem, znacym wprowadzie, ale którego także nie można frakować zbyt serio) widział kawiarnię, w których ma się ochotę siedzieć całymi godzinami. My siedzimy w nich wprowadzie godzinami, ale chyba tylko z uwagi na przyrodzony nasz nacji — automasochizm. Kawiarnie w nad Dunajskiej stolicy bywają różne — duże i małe, ale wszystkie urokliwe, nastrojowe, stylowe. Miast zimnej i nijakiej nowoczesności (vide nasza łódzka „Grandka” po długotrwałym i gruntownym remoncie) Węgry wolą przytulne, secesyjne wnętrza, co zapewne można uważać za świadectwo ich złego smaku. W niektórych kawiarniach można sobie połańczyć nie placąc nawet wstępu konsumpcyjnego. A co można zjeść — tego najłatwiej pióro nie opisze. Te lody, wielobarwne kremy, wybór ciastek, który wystarczy zapewne na zaopatrzenie całej Łodzi. Polak po cieży, karmiony od wieków wuzelkami, torcikami studenckimi i orbiśkami dostaje zawrotu głowy, widząc stopy apetycznych tortów wszelkich możliwych rodzajów i maści. Złośliwi i wątrobiarze twierdzą, że właśnie w tych kuszających wspaniałościach leży przyczyna nader pokąsnej tuszki wielu Węgiek. Zawsze jednak lepiej mieć oparcie się pokusom niż ich w ogóle nie mieć. Gastronomia, rzecz niebywała wprost i niewiarygodna, dla Polaków stanowi jeden z magnesów turystycznych Budapesztu. Uroki kuchni węgierskiej opiewano już wielokrotnie. Aż trudno uwierzyć, że restauracje mogą nie być zakładami zbiorowego żywienia (i to kiepskiego), ale pełnymi wdzięku i uroczystego skupienia miejscami kontemplowania, rozkoszowania się i konsumowania różnych pyszności. Pięknie przybrane stoły, efektowne nakrycia, estetycznie skomponowane półmiski przyciągają się do stworzenia podniosłego nastroju. Nie wspomnę już o urokliwym, cygańskim muzykowaniu. Biednemu, polskiemu turyście wydaje się, że znalazł się w jakimś bajkowym, nierzeczywistym świecie, w takiej operetce z nieprawdopodobnego zdarzenia, w życiu wyższych sfer. Jak sam Pan widzi wszystko jest tu ogromnie niepoważne, powściągliwym, nawet takie jakieś „nieprawdziwe”. Zbyt ładne, zbyt dekoracyjne. Ale na szczęście, Pan i ja, żyjemy w solidnym, statecznym poważnym grodzie, w którym nie ma miejsca na żadne głupstwa, ani iluzjonistyczno-operetkowe efekty. Bo komu i czemu to ma właściwie służyć, Panie Redaktorze?

Z poważaniem

MARIA KORNATOWSKA



ELŻBIETA WRÓBLEWSKA

„Inostrannaja literatura” w roku 1967

„Inostrannaja Literatura” ukazuje się od roku 1955. Jak wiadomo, prócz przekładów zawiera dział krytyki i bogatą kronikę kulturalną. Weźmy numer z roku 1955: „X — to znaczy pisarz amerykański” — informuje notka o autorze. A oto numer z lat 60-tych: „X jest pisarzem dobrze znanym czytelnikom” (tu wymieniana się przekłady utworów pisarza na język rosyjski).

Na podstawie lektury ostatnich stron miesięcznika, gdzie zamieszczane są informacje o autorach, można by ułożyć niezłą bibliografię, dającą obraz tempa przekładów, a zatem przyswajania obcej literatury współczesnej przez czytelników radzieckich.

Obecnie „Inostrannaja Literatura”, prezentując przede wszystkim najnowsze utwory pisarzy o nazwiskach dobrze znanych swoim czytelnikom. Obok tego, od czasu do czasu, wprowadza nazwiska nowe — towarzyszy temu najczęściej wstęp lub esej dotyczący autora. W ogóle redakcja pisma wyraża dąży do zsynchronizowania przekładów z prozą i poezją z esejami lub recenzjami omawiającymi twórczość publikowanych autorów. Oznacza to dla czytelnika, który niekoniecznie musi być ekspert od spraw literackich. Zresztą tu żaden ekspert się nie polapie, bo „Inostrannaja Literatura” nie ogranicza się do nowości pochodzenia europejskiego lub amerykańskiego. Na łamach miesięcznika pojawiają się także pisarze trzeciego świata — można tam znaleźć prozaików i poetów Nigerii, Ghany, Ku-by, Gwatemali, Indii i innych nacji, o których twórczość polski czytelnik nie wie nie albo bardzo mało, niezadko do późnej starości żyjąc w przekonaniu, że tam tylko tańczą tańce wojenne wokół ogniska.

Dzięki temu, że „Inostrannaja Literatura” przełamala europejską zaściankowość, możemy poznać za pośrednictwem języka rosyjskiego nie tylko idee krążące w trzecim świecie, ale także uchwycić artystyczne „inności”, pochodzące z odmiennej głębi kulturalnej. W tym roku pismo drukuje dwie powieści pisarzy nigeryjskich — Chinuo Achebe „Człowiek z ludu” oraz „Głos” Gabriela Okary, a także eseje E. Galperina o literaturze Nigerii w latach 60-tych. Prozę nigeryjską tych lat cechuje ostry krytycyzm, gorzka ironia, skierowana pod adresem władzy. Galperina pisze, że w powieściach pisarzy nigeryjskich ostatnich lat powtarza się trójkąt: Władza,

znajome szlaki! Trudno oczywiście wymienić wszystkie utwory, opublikowane w 8 numerach miesięcznika — można wspomnieć tylko o niektórych.

5-ty numer „Inostrannoj Literatury” zawiera utwory, wspomnienia i dokumenty związane z Rewolucją Październikową (jest to numer poświęcony 50-tej rocznicy Rewolucji). Spotykamy w tym numerze m. in. nazwiska Kisch, Dreisera, Aldridge’a, Henryka Manna, Prestley’a, Lundkvista, a także Polaków — Wł. Broniewskiego oraz prof. dr S. Żółkiewskiego.

Prozę amerykańską w r. 1967 reprezentuje przede wszystkim znakomity pisarz John Updike, autor „Centaura”. „Inostrannaja Literatura” publikuje jego „Farmę” — wydaną w tym roku po polsku. W innym numerze znajdujemy „Długi marsz” Styrona, pisarza, którego krytycy-entuzjaści mianowali już następcą Faulknera i to lepszym od poprzednika. W pierwszym planie powieść jest pamfletem na mentalność wojskową, w drugim — lansuje teorię, że życie jest długim marszem. Wywołaniu tego drugiego planu służy nie najlepszy gatunek symboliki. Niestety, (wbrew entuzjastom), najlepsza powieść Styrona jest „Pogrzeb się w mroku”. Niestety, bo to jego pierwsza powieść i do tego najbardziej związana z tradycją faulknierską.

W 6 numerze miesięcznika możemy przeczytać bardzo zabawną powieść — niepowieść — Bel Kaufman pt. „W górę po schodach, wiodących w dół”. Pani Kaufman była przez 15 lat nauczycielką szkół średnich w Nowym Jorku, a następnie zaczęła uwieczniać swoje szkolne doświadczenia. Utwór ma oryginalną formę — jest to montaż różnego rodzaju dokumentów (zapewne też pseudodokumentów) — dialogów, listów, tzw. papierów urzędowych. W sumie — jest to żart ze szkoły w ogóle i ostra satyra na amerykański system szkolny. Ciekawe, że jeden z uczniów Ferone to jakby bohater Osborne’a jeszcze w szkole, młody, gniewny uczeń. Książka ta z pewnością miałaby powodzenie w Polsce, tym bardziej, że do naszego szkolnego systemu, też by to i owo pasowało.

A oto proza francuska. Przede wszystkim więc „Rzeźby” Pereca; jak wiadomo, jest to debiutancka powieść pisarza, za którą otrzymał on nagrodę Renauda (tłumaczona na język polski). W tym samym numerze zamieszczony jest esej L. Zoniny, która wysoko oceniając powieść Pereca określa ją, jako próbę demontażu mitu „cywilizacji obfitości”.

W zupełnie inną konwencję przenosi nas powieść Simonona „Pociąg z Wenecji”. Coś w niej z Dostojewskiego i coś z Dürrenmatta (tego z „Krakusy”). Nie jest to kryminał, w którym chodzi tylko o rozwiązanie zagadki. „Porządny człowiek” przez przypadek wpłata się w aferę kryminalną i zostaje właścicielem nie swoich pieniędzy. Nie umie oprzeć się pokusie ich zatrzymania, ale ogarnia go lęk, czuje się winny. Wreszcie ze strachu robi rzeczy niezgodne ze swoją wolą. I nagle widzi się w zupełnie nowym świetle. On, „porządny człowiek”, okazał się przestępcą.

Zajmijmy się teraz następną przedstawicielką Francji. Jest nią Simone de Beauvoir. „Inostrannaja Literatura” drukuje jej powieść wydaną w roku 1966 „Piękne obrazki”. Rzecz dzieje się w środowisku bogatych mieszczan. Bohaterka powieści staje przed problemem „jak wychować dziecko”. Można na podstawie tej powieści, która stanowi ciekawy dokument obyczajowy, stwierdzić u pani de Beauvoir wzrost uczuć rodzinnych. Powieść czyta się zabawnie — zwłaszcza cała doskonała jest scena, kiedy porzucona przez kochanka 50-letnia dama rzuca się na dywan krzycząc „mierza-wieci”!

I wreszcie — Polskę reprezentuje w dziale prozy A. Brycht znanym nam do-brze „Dancingiem w kwaterze Hitlera”.

W tym roku wydrukowano także w miesięczniku dwa głośne dramaty: „Sprawę nie podlegającą sądowi”

Osborne’a i „Meteora” Dürrenmatta. Szestakow pisze „O monologach Osborne’a”, stwierdzając, że po Bernardzie Shaw jest on pierwszym na wielką skalę rewolucjonistą teatru angielskiego.

Poezję reprezentują wiersze: Lowella, Kawafisa, Montale, Moralesa (ciekawy 26-letni poeta Gwatemali), poetów Puerto Rico oraz Sterna, Różewicza, Szymborskiej i Grochowiaka. „Inostrannaja Literatura” publikuje także wypowiedzi uczestników międzynarodowego spotkania poetów w Gruzji.

Dział krytyki przynosi w tym roku kilka ciekawych esejów, m. in. Zoniny o młodej prozie francuskiej i rozważania Szklowskiego pt. „Czy powieść się kończy?”. Zonina zwraca uwagę na sprawę niezwykle ważną dla krytyki: bardzo często sformułowania krytyczne zastępują w formuły, które krytycy chcieliby stosować do innego typu literatury niż ten, z którego wyrosły. Klasyfikacja tego przykładem jest kryterium „bohatera”. W tradycyjnym znaczeniu tego słowa bohater, to indywidualność, w miarę możliwości jak najbardziej charakterystyczna. Nowa powieść odwraca się od psychologizmu i indywidualizacji, więc nie można do niej stosować dawnego kryterium. Uwagi te można zaledykwować pierwszymi najnowszymi krytykami, którzy od czasu do czasu domagają się bohatera współczesnego polskiej prozy...

Problematyką nowej powieści zajmuje się także do-brych znany w Polsce teoretyk literatury i krytyk W. Szklowski. Twór zwany antypowieścią wywodzi on z Turgeniewa, Dostojewskiego i Gogola. Następnie omawia najistotniejsze cechy nowej powieści (m. in. na przykładzie „Centaura” Updike’a).

O tym, że rośnie zainteresowanie prozą awangardową świadczy dyskusja opublikowana w dziale „Nasi goście” (nr 4), a mianowicie wypowiedzi M. Butora i A. Lanoux na temat nowej powieści francuskiej. Pomysł był świetny, bo jak wiadomo, ci dwaj pisarze stoją na dwóch biegunach; Lanoux uprawia tradycyjną powieść psychologiczną, a Butor jest uważany za jednego z najbardziej śmiałych nowatorów. Butor stanowczo protestuje przeciwko umieszczeniu w jednym szeregu N. Sarraut, A. Robbe-Grilleta i Butora. Nawet krytycy — stwierdza uprzejmie — uważali już różnicę między nimi. N. Sarraut interesuje „mikroświat” człowieka — A. Robbe-Grilleta — materialny świat rzeczy, Butorowi natomiast obca jest dehumanizacja literatury. We współczesnej powieści ogromna rolę odgrywa organizacja czasu i przestrzeni — podkreślił Butor. Nastąpiła też degradacja bohatera, jako indywidualności. Butor nie uznaje pojęcia „literatury zaangażowanej”. Rola i znaczenie literatury są według niego niezależne od sytuacji na świecie. Nie można mierzyć wartości literatury jej popularnością i przystępnością.

Następnie swoją opinię o nowej powieści wypowiedział A. Lanoux. Lanoux zgodził się z koniecznością eksperymentowania, ale zauważył, istnieją też eksperymenty nie prowadzące do żadnego celu. Wysoko ocenił „Rzeczy” Pereca oraz „Odmianę” Butora (przy czym wartość tych powieści widział nie w ich nowatorstwie lecz wartościach „realistycznych”). Następnie Lanoux krótko się załatwił z dwoma pozostałymi przedstawicielami awangardy: „...kiedy czyta się niektóre powieści Natalii Sarraut czy Alaina Robbe-Grilleta, trudno zrozumieć, czemu służą”.

Lanoux, w przeciwieństwie do Butora, przywiązuje wielką wagę do przystępności i popularności powieści. Uważa, że czytelnikami powinni być przede wszystkim robotnicy.

Oczywiście, nie sposób omówić wszystkie tegoroczne publikacje „Inostrannoj Literatury” — jest to pismo bardzo obszerne, do tego duża część tekstów, drukującą nonparelem. Można tylko niektóre sprawy zasygnalizować. Zainteresowani — z pewnością dotrą do źródła.

Najpierw był entuzjazm

Na początku był entuzjazm. Entuzjazm i może jeszcze trochę przekory: chciało się udowodnić wszystkim, a najbardziej sobie, że to, co teoretycznie jest nie do wykonania, przybierze jednak realny, sprawdzalny kształt — że mimo wszystko będzie możliwe. Tak urodziło się pierwsze widowisko plenerowe Romana Sykały, poświęcone rocznicy powstania KPP.

Teraz, kiedy reżyser zabiera się do kolejnej, piątej już gigantycznej inscenizacji jego entuzjazm wspierany jest przez żywe, spontaniczne zainteresowanie setek tysięcy widzów. Kiedy wystawiano widowisko poświęcone obchodom Tysiąclecia Polski, spory przeciwiejsi młodzi, plac Dąbrowskiego, okazał się za mały. Tam, przed gmachem opery mogło się pomieścić zaledwie pięćdziesiąt tysięcy widzów. Ale tych, co chcieli zobaczyć spektakl było o wiele więcej: napierali z całych sił na szczeblach, którym udało się zdobyć kilkanaście centymetrów kwadratowych na kamiennej płytce placu. Trzeba było przerwać spektakl i uspokoić tłumy przez megafon, zapewnić ludzi, że widowisko zostanie powtórzone i ci, którym dzisiaj się nie udało, mogą tu wrócić następnego dnia. Potem znów były tłumy limitowane murami domów okalających plac i ścianą samochodów, którymi zagrodzono ulicę.

Reżyser Sykała mówi: wielkie sprawy wymagają wielkich emocji. Stąd właśnie wyrosła potrzeba wielkich widowisk, na których wytwarza się emocjonalny stosunek uczestnictwa, wciągnięcia. Dotyczy to zresztą w równym stopniu widzów, jak i wykonawców.

Wygląda to jak anegdota, ale zdarzyło się naprawdę podczas spektaklu „Partyzanek i ballad”, która oglądała na raz sto pięćdziesiąt tysięcy widzów, czy może w której uczestniczyła ta imponująca cyfra ludzi. Jeden ze statystów, żołnierz sprzeniewierzył się regulaminowi. „A w co?” — zapytał go zdumiony dowódca. „Ja teraz jestem partyzantem, panie pułkowniku”.

„Ja teraz robię Rewolucję” — mógłby na kanwie tamtej anegdoty powiedzieć reżyser

Roman Sykała. Wrecał mi scenariusz widowiska napisany przez Władysława Orłowskiego, Tadeusza Szewera i Marka Wawrzkiwicza przy jego współpracy. Tytuł: „Dni, które wstrząsnęły światem”.

Zacytujmy ze wstępu: „Dni” są widowiskiem historyczno-poetyckim, oddziaływającym na masową widownię barwnością poszczególnych scen, wysoką temperaturą ideową dialogów, komentarza, fragmentów utworów poetyckich, polemik politycznych i przemówień wodzów Rewolucji, rozmachem ruchu scenicznego dużych grup aktorów i statystów, światłem, obrazem filmowym, pieśnią rewolucyjną i muzyką. Dynamikę widowiska podkreślają szybkie zmiany planów akcji, a także rozgrywanie się jej poza estradą, w różnych punktach widowni”.

Już choćby to daje, jak sądzę, pewne wyobrażenie o rozmachu przedsięwzięcia. Aby dopełnić ten obraz poinformujemy, że w spektaklu weźmie udział blisko 500 wykonawców, dziesiąta część z nich będzie kreować większe i mniejsze role. W widowisku wykorzystane zostaną niezwykle rekwizyty: 8 autentycznych, żywych koni ze stadniny w Bogusławicach i dwa pospolite konie dorożkarskie z najprawdziwszą dryndą, którą będą jeździć po estradzie pijani burżuazyści. Poza tym: dwa autentyczne samochody pancernie, żołnierska kuchnia polowa, na scenie błona będą ogniska. O zabezpieczeniu tych i wielu jeszcze innych rekwizytów, kłopoty się już od wielu dni kierownik produkcji Jerzy Nitecki. Wprawdzie Wytwórnia Filmów Fabularnych otworzyła przed realizatorem widowiska swoją kinsternię, ale zapasy całego filmu Polskiego okazały się za małe. Podstawowy wieciez ubrania wszystkich w odpowiednim kostiumy musiał wziąć na siebie Eugeniusz Bożyk.

Na tym zresztą nie koniec: w widowisku wykorzystane zostaną fragmenty autentycznych kronik filmowych z roku 1917, od kilku już miesięcy kilometry taśmy przegląda Czesław Kufel. A przed realizatorem stanęło nowe zadanie: skąd zdobyć odpowiednich rozmiarów

ekran. Ostatecznie ekran został specjalnie utkany przez Zakłady im. Wróblewskiego, zaś Łódzkie Zakłady Kintotechniczne zmontowały specjalny projektor.

Z pomocą przychodził niemal cała Łódź: WFF dostarczył swój park oświetleniowy, WFO wzięła na siebie montaż i skopiowanie wybranych fragmentów filmowych, wojskowy oddział łączności dostarczył krótkofalówki, zapewniając komunikację pomiędzy reżyserem i wykonawcami. Ma w tych pracach także swój udział telewizja i radio, straż pożarna, Związek Włóknarzy Kuratorium i co jest zrozumiałe wszystkim bez wyjątku teatry, a także WSTF. Ma także pełne ręce roboty scenograf Jerzy Szeski i muzyk, Czesław Majewski.

Bo widowisko jest rzeczywiście niezwykle, dynamiczne: nawet ekran filmowy będzie w nim obrotowy.

Przygotowania są w pełnym toku, aktorzy odbywają próby noca po spektaklach w teatrze, za kilka dni odbędzie się próba montażowa całego widowiska.

A 5 i 6 listopada cała Łódź spotka się w Hali Sportowej, aby wziąć udział w gigantycznym widowisku.

Mamy do odnotowania jeszcze jedną miłą wiadomość: ostatnio Minister Obrony Narodowej przyznał autorom widowiska „Ballada partyzancka” nagrodę III stopnia za osiągnięcia w dziedzinie teatru. Przypomnijmy jeszcze raz te nazwiska. Scenarzyści: Władysław Orłowski, Tadeusz Szewer i Marek Wawrzkiwicz oraz reżyser Roman Sykała. Serdecznie gratulujemy.

Tele- obiektyw

W poszukiwaniu tematu

Napisać felieton, jeżeli widać się jako taki piórem i trafi przypadkiem na dobry temat, nie jest trudno. Sztuką jest dopiero stale pisanie felietonu. Wówczas tygodniowa, czy jakaś inna okresowa rotacja staje się dla autora nieraz prawdziwą udręką.

Ktoś może powie, że tydzień to dużo czasu. To siedem wieczorów, przez które można przecież wymyślić coś atrakcyjnego. Tak się tylko wydaje. Po pewnym czasie tydzień dla felietonisty staje się diabelnie krótki. Ledwie zdążyłoby się ukończyć jeden felieton, a już redakcja domaga się następnego.

Z felietonem telewizyjnym sprawa jest, przynajmniej tak twierdzą. Tematu do niego dostarcza obfity i różnorodny program. Ale wyznacznikiem uczucie, że w tym tygodniu miałem niejakie trudności z wyborem. Jakoś żaden z programów nie zainspirował mnie do ciekawszych refleksji.

Myślałem napisać coś o „Panu Damazym”, poczytając ramocie, która na krakowskim konkursie dramatycznym w roku 1877 przyniosła Józefowi Blizińskiemu pierwszą nagrodę i związana z nią kwota 600 zł. Spektakl telewizyjny w reżyserii Józefa Słotwińskiego dość mnie zdegustował.

Przed wszystkim zabrakło Damazego. Owa wspaniała postać starego wredy, który z trudem usiłuje łączyć szlagońską prawicę z anachronizmem ze sprytem człowieka interesu, w ujęciu Tadeusza Bartosika straciła wszelkie kolory, wybiła. Aż dziwne, że i Czesław Wołłejko przeszedł postać Rejenta, robiąc z niej sobie smutną kpinę. Reżyser potraktował całość bez inwencji i chyba bez przekonania.

Chciałem to wszystko napisać, ale otworzyłem nagle jedną z łódzkich gazet i wyczytałem, że „doskonale zespół aktorski”, że „duży wkład reżysera”, że „nowe światło”(?). Zrezygnowałem więc z tematu. Widocznie się nie znam.

Pewno również nie miałem racji, stwierdzając przed telewizorem na Jana Kłossowicza, który w słowie wstępnym wygłaszanym przed „Panem Damazym” dwukrotnie użył słowa „forsa” i to takim tonem, jakby zażywając ono pełnych praw obywatelskich w języku literackim. Dla mnie zabrzmiało to do łobuzersku. Szczególnie przykre, że padło z ust cenionego krytyka teatralnego.

Po niepowodzeniu z „Panem Damazym” próbowałem spisać listę żalów pod adresem spektaklu łódzkiej telewizji w ramach Teatru Niedzielnego. „Znakomity komiwojażer” według opowiadania Balzaka źle mnie usposobił od samego początku. A więc przede wszystkim długie kawały nie najciekawszej balzakovskiej prozy wyprzedziane przez narratorkę. Sobolewski robił co mógł, ale gdy kończył ostatnią frazę, wydawał się rozumieć, że widowisko jest już rozłożone z kretelem.

Jeszcze nie wygasło jednak jego oblicze na lampie kinoskopowej, a już pojawiła się równie długa i równie chybła obliczona na dobiecie widza dokretka filmowa, w której dosłownie nie się nie działo. Najpierw widać było aleję w jesiennej szacie, a w jej głębokiej perspektywie długi, długi nie. Potem na końcu alei ukazały się dwie małe sylwetki w ruchu, które zbliżały się i rosły w oczach bardzo powoli. Tak jak gdybyśmy żyli w czasach, w których nie wymyślono jeszcze montażu filmowego i tak zwanych cięt. Najważniejsze zaś, że gdy dwie postacie ludzkie (i osiołek, któ-

ry się niemal do końca kłóspirowali) wreszcie się zbliżyły, to z tego faktu nic, ale to absolutnie nic nie wynikało.

Chciałem jeszcze napisać, że znakomici aktorzy łódzcy bardzo się potem męczili, tak bardzo, że zacząłem wątpić w trafność wyboru tekstu, ale...

Ala w innej znów gazecie łódzkiej wyczytałem w tygodniowym przeglądzie, że „ogromnie zabawna adaptacja”, że „spektakl przypominał, że posiadamy wybitnych aktorów”. Westchnąłem w duchu, że wole inne formy przypomnienia, ale z tematu zrezygnowałem. Widocznie się nie znam.

Z przerażeniem również stwierdziłem, że mam odmienny pogląd niż autorka omówień pn. „Tydzień na małym ekranie” jeszcze w innej kwestii. Chodzi mi o rolę słowa w telewizyjnych programach publicystycznych. Koleżanka moja twierdzi, że w telewizji słowo nie może dominować nad obrazem. Otóż niezupełnie tak.

Nie zgadzam się ze stwierdzeniem, że jeśli dobry dzień nikarz opowiada przed kamerą interesujący fakt, z jakim zetknął się w jednym ze swych profesjonalnych rekonesansów, to forma taka jest w swej strukturze nietelewizyjna. Wszystko zależy od tego, kto opowiada, jak to robi i o czym mówi. Dobra relacja autentycznego zdarzenia może się stać fascynującym widowiskiem, nawet jeśli na ekranie oglądać będziemy przez jakiś czas tylko twarz narratora.

Właśnie słowo jest czynnikiem decydującym w publicystycznych programach telewizyjnych. Zmienny i pomysłowy obraz na ekranie nie pokryje pustki intelektualnej, manieri, papierowej dziennikarszczyzny. Przekład? Proszę bardzo! Nadany w dniu 24.X. program „Nie nasza sprawa”.

Autorka jego zadbała o stronę obrazową, pokazała na wstępie film studenta PWSTF, a potem — w trakcie interview z młodym prosteptą, skazanym na 10 lat więzienia za gwałt — kamerą ukazywała ruchliwą ulicę przez zakratowane okno więzienne. Nie obraz więc zawiódł, ale słowo. Wywiad z przestępcą wypadł wręcz żenująco, pytania zmierzały do naprowadzenia rozmówcy na z góry założone tezy publicystyczne, a napuszona forma pytań pozostawała w jaskrawej sprzeczności z poziomem umysłowym więźnia. Całości dopełniło pseudonaukowe i pseudointelektualne podsumowanie dokonane przez autorkę, tym razem już na wizji.

No i tak! Felieton mi się skończył, a ja właściwie nie znalazłem jeszcze tematu!

Władysław Orłowski

SPEKTAKLE tygodnia

TEATR WIELKI		widzów
„Carmen” 1 spektakl	1276 — 100%	
„Straszny dwór” 3 spektakle	3828 — 100%	
„Pan Twardowski” 1 spektakl	1276 — 100%	
„Rigoletto” 1 spektakl	1276 — 100%	
NOWY		
„Damy i huzary” 3 spektakle	2100 — 100%	
„Świerszcz za kominem” 2 spektakle	1000 — 75%	
„Blacharz” 1 spektakl	500 — 75%	
MAŁA SALA		
„Skiz” 4 spektakle	800 — 100%	
„Szkłana menażeria” 2 spektakle	400 — 100%	
POWSZECHNY		
„Noc spowiedzi” 3 spektakle	1980 — 100%	
„Tango” 2 spektakle	1200 — 96%	
ROZMAITOŚCI		
„Ogniem i mieczem” 2 spektakle	1206 — 100%	
„Paryżanin” 4 spektakle	1496 — 88%	
OPERETKA		
„Domek trzech dziewcząt” 6 spektakli	5561 — 83%	
TEATR ZIEMI ŁÓDZKIEJ		
„Los człowieka” 3 spektakle	720 — 100%	
FILHARMONIA		
Koncert popularny 1 spektakl	655 słuch. 98%	

O FILMACH DOBRZE I ŹLE



Projekcją „WOJNY I POKOJU” na naszych ekranach towarzyszą okoliczności dość niepospolite, które, przekonana o tym jestem, znajdą echa we wszystkich rozmowach o tym filmie. Wypunktujmy je więc i my. Jesteśmy świadkami prawie bezprecedensowego przypadku oglądania filmu nie skończonego, na jego dwie części następuje przyjdzie nam jeszcze poczekać. Nie unikniemy porównań z filmem amerykańskim, ogladanym przed kilku laty. Mówić będzie o kinie stereofonicznym, bo ten film zdobywa dla niego prawo obywatelstwa w naszym kraju.

Reżyser Sergiusz Bondarczuk proponując swoją koncepcję adaptacji po wieści Lwa Tołstoja, podjął się równocześnie jednego z największych filmowych przedsięwzięć produkcyjnych w skali światowej. Półtora roku przy-

gotowań, prawie trzy lata realizacji, dwadzieścia tysięcy statystów biorących udział w scenach batalistycznych, kilkanaście tysięcy kostiumów uszytych dla potrzeb tego filmu, setki rekwizytów, udział ogromnej ilości konsultantów, dziesięć godzin próbek całości filmu, to dane, które oszałamiają, ale wiadomo, że pod osąd widzów poddany zostanie przede wszystkim końcowy rezultat tych lat pracy i włożonego trudu.

Film Bondarczuka jest czwartą w historii kinematografii próbą adaptacji wielkiej książki Lwa Tołstoja. Dwa pierwsze z roku 1912 i 1915 zrealizował Rosjanin, trzecią King Vidor w 1956 roku. Widać z tego, że film tak beztrudno adaptujący prawie wszystko, co leży w sferze światowej literatury, wobec tej książki zdobył się na skromność, bo jak nie trudno się domyślić, poważniej mówić można głównie o próbie amerykańskiej i radzieckiej. Możliwość konfrontacji tych dwóch filmów i ich diametralnie różnych koncepcji, pozwala kontynuować stale jeszcze aktualną dyskusję nad sprawą adaptacji dzieł literackich, z których kino w dalszym ciągu przebiega życie. W interesującym nas przypadku dyskusja sprowadza się do spraw następujących: zachowania granicy wierności wobec dzieła adaptowanego i zarazem wykorzystania ograniczonych przez możliwości sztuk filmowej. Adaptacja amerykańska pozostaje wierna temu, co po wszechświecie o tych możliwościach było wiadomo. Reżygnując z wielokrotności powieści i wszystkich tego konsekwencji, poprzez skupienie uwagi na postaci Natasy, zmierzając do jednolitości scenariusza. Próbowano wprowadzić zachować Tołstojowską „koncepcję losu człowieka”, lecz de-

cyzja pierwsza tę możliwość przekreśliła. Usiłowano przyjąć sobie z pomocą istotnie imponującą rozbudowaną elementami widowiskowymi, ale znów zdołano tylko pokazać obraz kilku ludzkich dramatów na tle wojennych wydarzeń, co nie było adekwatne wobec historiozofii Tołstoja. Znajomość psychologii widza narzucała twórcom amerykańskim wybór aktorów. Ci, w większości wypadków świetnie wywiązując się z powierzonych sobie obowiązków, nie mogli stać się w pełni Tołstojowskimi bohaterami. Przy tych wszystkich zastrzeżeniach nie sposób było nie dostrzec kultury, z jaką próbowano ten film zrobić. Właściwie niczego więcej nie można było oczekiwać po tym typie epiki filmowej, jaką zaproponował Amerykanin. Z tym większą ciekawością oczekaliśmy na film Bondarczuka i choć trudno po dwu pierwszych jego częściach stawiać oceny ostateczne, pewnie sprostowania odnotować można już dziś.

Jedno jest pewne. W przeciwieństwie do Amerykanów, Rosjanie próbują przełamać owe granice możliwości epiki filmowej, o których mowa była wyżej. Bylibyśmy niesprawni wobec intencji twórców filmu, gdybyśmy powiedzieli, iż ich dzieło pełni funkcję usługową wobec powieści, choć to wrażenie nasuwa się chwilami. Ich film, to już bowiem nie adaptacja, lecz w najdosłowniejszym znaczeniu tego słowa ekranizacja powieści. Towarzyszy nam atmosfera przetrząsanych kartek, kontemplacyjnej lektury. Piętnym w stosunku do tekstu powieści każde tworcom nie uроніć nie z jej obrazów i myśli. Są jednak w kinie i dlatego każą pisać kamerze, ponieważ jej

moc nie jest wszechpotężna; uciekać się jednak muszą do pomocy słowa, narrator musi przychodzić w sukurs. Nieprzekładalność wszystkich treści zamkniętych w dziele literackim na język obrazów i innych środków wyrazu sztuki kina to granica, na której zatrzymać się musiało wielu wybitnych twórców filmowych. Rosjanie również nie zdołali tej przeszkody w pełni pokonać, mimo dążeń do tego, by ich film był również dziełem, które posiadałby autonomiczne życie. Wydaje mi się, że największe pomyłki popełniają twórcy wówczas, gdy dają właśnie do tej autonomii, noś, która ma przy tym zachować pełną adekwatność w stosunku do tekstu. Dla przykładu: liryczne marenia Natasy o nocnym locie nad ziemią, zamieniając się w lot kamery nad skądinąd cudownym krajobrazem rosyjskiej ziemi, stają się naprawdę niedobrą zabawą w kino. Poemak tej zabawy ma też kilkakrotnie powtórzony pomysł z symultanicznym ekranem.

Czy Rosjanie zdołają w całości filmu wydobyc historiozoficzne tezy swego wielkiego mistrza, jego widzę nie „ludzi poprzez Historię i Historię poprzez ludzi”, trudno już na obecnych etapach realizacji wyrokować. Wiele danych przemawia za tym, iż ich film jest bliższy intencjom Tołstoja niż próba amerykańska. Mimo zastrzeżeń, które można zgłosić wobec „ekranizacyjnej” koncepcji i wynikających z tego potknięć, do których dołączyć musimy jeszcze nieniknione dłużyzny, brak klarownej dramaturgii poszczególnych sekwencji (choć trudno przy tym uciec do dzieła o dramatycznej całości), film ma wartości, które podkreślić trzeba szczególnie mocno. Twórcy filmu na-

ją w roku stuty silniejsze niżeli tylko ów piętny wobec literackiego pierwowzoru. Mają rosyjską ziemię i jej mieszkańców do dyspozycji. Film jest szczerzy, prawdziwy i wzruszający właśnie w rysunkach typologicznych i charakterologicznych postaci, w obrazach rosyjskiego obyczaju i prawdy o rosyjskiej ziemi. Rosyjscy aktorzy pokazali swym składem znakomitym amerykańskim kolegom, jak muszą wyglądać, zachowywać się i czuć Tołstojowskie bohaterowie. Myślę tu głównie o cudownej Ludmille Sawillewej i prawie wszystkich bohaterach drugo- i trzecioplanowych. Sprzeczne uczucia budzi Pierre Bezuchow w interpretacji Bondarczuka, jego bohater jest autentycznym Bezuchowem Tołstoja, ale jednak ekran jest okrutny i nie wiem, czy Bondarczuk nie poszedł za daleko w swym wcieleniu się w postać książkowego Pierra. Pamiętajmy jednak, że z tym filmem i jego bohaterami jesteśmy się spotkali. Kiedy myślę o tym przyszłym spotkaniu, nawiązując do niego, myślę zupełnie już innej natury. Ludzie się, że technika kina stereofonicznego, w rodzimym wydaniu przebiedzie pewien etap doskonałości. Film stereofoniczny, to niewątpliwie duże i wcale nie pozaartytyczne przeżycie. Piszę „chcibas”, bo w pełni tego nie można dziś ocenić. Kto i co tu zawinilo nie wiem, może niedoskonałość aparatury kinowej a może niefortunny polski dubbing, gdyż oryginalny świat dźwięków tego filmu był niewątpliwie współtwórcą wielu cenionych wrażeń, zdubbingowane ludzkie głosy swymi akustycznymi efektami już nie raz, ale chwilami porażały uszy i słowy skromnych wielebicieli nowoczesnej techniki.

EWA NURCZYŃSKA

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje



DALIDA ZNOW NA ESTRADZIE

Po raz pierwszy od siedmiu miesięcy, to jest od nieudanego samobójstwa, Dalida wystąpiła przed paryską publicznością w „Olimpij”. Mimo, że w ciągu lat 12 sprzedano 13 milionów jej płyt, mimo że jak zawsze, a obecnie może jeszcze z większą serdecznością, witana jest entuzjastycznie przez publiczność, Dalida ma

szaloną treść przed wyjściem na scenę. I tym razem ukazała się publiczności ze łzami przerażenia w oczach i drżącymi ze strachu rękami. Spiewała 17 piosenek, które wzbudziły prawdziwy entuzjasm sali. W pierwszych rzędach widowni siedziało 4 lekarzy, tych właśnie, którzy wyrwali ją śmierci, a których Dalida specjalnie zaprosiła na swój pierwszy występ po wyzdrowieniu.

NIEZWYKŁY FESTIWAL KSIĄŻKI

W czerwcu przyszłego roku odbędzie się w Nicei we Francji Festiwal Książki. Niezwykłość tego Festiwalu polegać ma na tym, że jego organizatorzy dążą wszelkimi staraniami, aby pisarze stali się tak popularni, jak gwiazdy filmowe, bożyszcza piosenek czy wybitni artyści estradowi. Przewidywany jest m. in. wielki bal w Palais de la Méditerranée, gdzie pisarze, dziennikarze i wydawcy książek pojawią się w kostiumach bohaterów powieściowych.

Na Festiwal przybędzie około tysiąca intelektualistów. Poza Szwecją, która z niewyjaśnionych powodów odmówiła udziału w Festiwalu, pisarze z ponad 30 krajów zgłosili swój udział. M. in. obiecali przyjechać Henry Miller, John Steinbeck, Leopold Senghor, Szolochow na czele delegacji radzieckich pisarzy.

Również swoje przybycie na Festiwal zgłosił znany surrealistyczny malarz Salvador Dalí, który ma przybyć do Nicei jako ilustrator dzieł poświęconych sztuce.

ŚMIERĆ PISARZY

W bieżącym miesiącu śmierć poczyniła niezwykłe spustoszenia wśród ludzi pióra. Zmarli: wybitny pisarz André Maurois, znakomity historyk i krytyk filmowy, autor znanych i cenionych na całym świecie dzieł o kinematografii, Georges Sadoul, powieściopisarz Marcel Aymé, powieściopisarka Claire Sainte-Soline, radziecki powieściopisarz, Ormianin Stefan Zorjan.

O śmierci André Maurois pisaliśmy już na tym miejscu.

Georges Sadoul urodził się 4 lutego 1904 roku w Nancy. Po ukończeniu studiów prawniczych przeniósł się do Paryża, gdzie od roku 1935 zajmował się krytyką filmową. Działalność literacką rozpoczął w 1924 roku, publikując w „Les lettres françaises” powieści i opowiadania. Pisał o nim m. in. Anne Philippe, Elsa Triolet, Agnès Varda, Aragon, Robert Bresson.

Marcel Aymé urodził się w roku 1902 jako syn kowala. Gdy ma dwa lata tracił matkę. Wychowywany jest przez dziadków, potem przez ciotkę. Studiował najpierw matematykę, potem medycynę, chwycił się następnie nałotów malarskich, wreszcie podejmuje dzienniczkę.

W bieżącym miesiącu śmierć poczyniła niezwykłe spustoszenia wśród ludzi pióra. Zmarli: wybitny pisarz André Maurois, znakomity historyk i krytyk filmowy, autor znanych i cenionych na całym świecie dzieł o kinematografii, Georges Sadoul, powieściopisarz Marcel Aymé, powieściopisarka Claire Sainte-Soline, radziecki powieściopisarz, Ormianin Stefan Zorjan.

O śmierci André Maurois pisaliśmy już na tym miejscu. Georges Sadoul urodził się 4 lutego 1904 roku w Nancy. Po ukończeniu studiów prawniczych przeniósł się do Paryża, gdzie od roku 1935 zajmował się krytyką filmową. Działalność literacką rozpoczął w 1924 roku, publikując w „Les lettres françaises” powieści i opowiadania. Pisał o nim m. in. Anne Philippe, Elsa Triolet, Agnès Varda, Aragon, Robert Bresson.

Marcel Aymé urodził się w roku 1902 jako syn kowala. Gdy ma dwa lata tracił matkę. Wychowywany jest przez dziadków, potem przez ciotkę. Studiował najpierw matematykę, potem medycynę, chwycił się następnie nałotów malarskich, wreszcie podejmuje dzienniczkę.

W bieżącym miesiącu śmierć poczyniła niezwykłe spustoszenia wśród ludzi pióra. Zmarli: wybitny pisarz André Maurois, znakomity historyk i krytyk filmowy, autor znanych i cenionych na całym świecie dzieł o kinematografii, Georges Sadoul, powieściopisarz Marcel Aymé, powieściopisarka Claire Sainte-Soline, radziecki powieściopisarz, Ormianin Stefan Zorjan.

ANTOLOGIA RADZIECKICH OPOWIADAŃ

W Stambule — jak informuje „Littérature”, „Gazeta” — ukazała się w drukarni antologia radzieckich opowiadań zainicjowana „Od Maksyma Gorkiego do Czingiza Ajmatowa”. Turckie wydawnictwo postawiło sobie jako cel zapoznanie czytelników w Turcji z rozwojem i osiągnięciami radzieckiej nowelistyki. Autorem

W bieżącym miesiącu śmierć poczyniła niezwykłe spustoszenia wśród ludzi pióra. Zmarli: wybitny pisarz André Maurois, znakomity historyk i krytyk filmowy, autor znanych i cenionych na całym świecie dzieł o kinematografii, Georges Sadoul, powieściopisarz Marcel Aymé, powieściopisarka Claire Sainte-Soline, radziecki powieściopisarz, Ormianin Stefan Zorjan.



san Ali Ediz. On też napisał przedmowę do antologii.

ASTURIAS LAUREATEM NAGRODY NOBLA

Tegorocznym laureatem Nagrody Nobla za całokształt pracy pisarskiej został Miguel An-



Miguel Angel Asturias

gel Asturias, ambasador Guatemali w Paryżu. Asturias urodził się 19.X.1899 r. (nagrodę otrzymał akurat w dniu urodzinowym, skończył właśnie 68 lat) w Ciudad w Guatemali. Po zdobyciu tytułu doktora prawnego, został w roku 1923 adwokatem. Po krótkim pobycie w Londynie przybył w 1924 roku do Paryża. Tu jest m. in. paryskim korespondentem „L'Imparcial”. W czasie paryskiego pobytu Asturias nawiązuje znajomości z tak wybitnymi ludźmi pióra, jak Desnos, Breton, Aragon, Tzara. W roku 1930 uka-

ostry krytyka dyktatury (np. w „El Senor Presidente”) i walczył północnoamerykańskiego trudu United Fruit. Dużo podróżował. W latach 1946-47 był attaché kulturalnym ambasady Guatemali w Meksyku, w latach 1948-50 był na placówce dyplomatycznej w Argentynie, potem w Paryżu. W roku 1953 został ambasadorem w Republice Salvador, a od roku 1966 pozostaje na tym stanowisku w stolicy Francji. Miguel Angel Asturias otrzymał w zeszłym roku Leninowską Nagrodę Pokoju.

Bez strachu

FELIETON ŻYWY

Dopiero od kilku tygodni robimy te felietony i dlatego mało się jeszcze znamy, niedostatecznie rozumiemy... Pragnę stwierdzić, że pierwsze zdanie nie jest błędem — felieton to nasza wspólna robota: moja — to jest tego, który pisze oraz czytawie tych, którzy czytają. Zapisane przeze mnie zdania, to tylko szereg luźnych propozycji do takich czy innych czytelników współwzajemnej realizacji. Zapis i realizacja czytelnika — łącznie tworzą felieton żywy, wypełniony substancją psychiczną czytelnika — jego znużeniem, degustacją, lekceważeniem, sprzeciwem, akceptacją, podziwem... Wszystkie te realizacje czytelnika wypierają minimum jeden z moich zamiarów — ponieważ proponując felieton nam zamykają wiele zamierzeń, gdyż spodziewam się, że odezwa go wiele osób i każda zrozumiem na swój sposób, a więc zostanie współtwórcą felietonu. Realizacją czytelnika jest zarówno przyjęcie, jak i odrzucenie — każdy, kto czyta felieton, może powiedzieć o sobie prawdziwie „uprawiam felietonistykę”. Co więcej, felietonistykę uprawiają także czytelnicy przyszli — ci, którzy będą dopiero czytać — ponieważ pisząc felieton zmuszony jestem do ustawicznego myślenia o nich — dlaczego nie czytają — czy dlatego, iż gniewają się na „odgłosy”, że prowincjonalne, „bez profilu”, wielokształtne kałiberem formalnym oraz intelektualnym. Wszystko to prawda, ale pewnego typu prowincjonalność — prowincjonalność „odkrywcza” poszukująca terenowych problemów i terenowych źródeł kultury — tworzący stanowi szanse rozwoju i racje istnienia pisma. Wielokształtność formy i wagi myślowej masy piśmienniczej jest koniecznym warunkiem strawności pisma, a jego „profil” nie może być dziełem pianisty, lecz stać się rezultatem żywego procesu społeczno-biologicznego. Niech budowniczy i zespół budowlany rozstrzyga, czy dom jest tylko ich dziełem, czy także tworem tych, którzy w nim mieszkają, którzy go oglądają z ulicy. Niech zespół realizatorski filmu decyduje czy przekazanie filmu do eksploatacji konczy dzieło, czy podobny film byłby dziełem żywym czy tylko zwłokiem tępym. Mnie interesuje proponowany właśnie felieton — początek felietonu — bo będzie to dopiero początek gdy napiszę ostatnie zdanie. Wdzięczność — w archiwach sterty pozłok, zbutwiełych gazet — ile tam artykułów, notatek, wywiadów, felietonów — nie odczytanych, zmarłych przed narodzinami. Nikt się nad tymi stronami nie gniewał, nie cieszył, nikt nad nimi nie myślał... A miało to przebiec i „profil” jak się patrzy i pożądana jednorodność problemowo-formalna, dlaczego to wszystko wydrukowano? W świecie czasopiśmienniczym miesza się z żywymi, czasopisma pozorne zdumiewająco przypominają rzeczywistość... Wszystko to kiedyś przemlecia maszyną na proch i pył, na nowy papier, na nową śmierć i nowe życie. Socjolog kultury powinien badać czy w rezultacie upadku i powstawania czasopiśmienniczych obszar życia, czy też obszar śmierci. Ja mam w tej chwili inny problem — muszę napisać ostatnie zdanie felietonu. Oto ono: powróćcie wzrokiem do tytułu i czytawie rzecz od początku, pilnie śledząc, czy odczuwacie znużenie, degustację, lekceważenie, sprzeciw, akceptację, podziw, a potem pomyślcie dlaczego odczuwacie to właśnie, a nie co innego — wzbudźcie siebie w tym punkcie do końca — do roboty felieton powinien już powstać.

BERNARD SZTAJNERT

TERESA

WOJCIECHOWSKA

Przyjaźni dzień świąteczny

Jubileusz domaga się odświętnej szaty, przywołania na pamięć wydarzeń doniosłych, czasem trochę może patetycznych, tych wszystkich chwil, które świąteczna atmosfera uświetnia, uwzniośla. Domaga się wyrażenia słowami i czynami uczuć, o których się na co dzień nie mówi, bo są same przez się zrozumiałe, bo w trybie codziennych zajęć nie ma na to czasu. Z okazji jubileuszu solenizant staje w centrum uwagi, staramy się do niego zbliżyć, wyrazić swą sympatię, uznanie, przyjaźń — jeśli jest naszym przyjacielem, wdzięczność — jeśli jesteśmy jego dłużnikami.

To jest chyba jedna z przyczyn, dla których poświęcamy tyle uwagi tegorocznemu jubilatowi — Związkowi Radzieckiemu z okazji 50 rocznicy Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej, z okazji 50-lecia pierwszego w świecie państwa socjalistycznego.

Nie ma w naszym mieście

chyba ani jednej instytucji, ani jednej placówki kulturalnej, która nie włączyłaby się w miarę swych sił i możliwości do obchodów tego święta. Teatr, kina, filharmonia, muzea, domy kultury, świetlice, biblioteki — od początku roku nasiliły działalność mającą na celu zbliżenie do naszego społeczeństwa życia narodów Związku Radzieckiego, osiągnięć ich nauki, kultury, tradycji rewolucyjnych i tradycji przyjaźni z naszym narodem, historii Wielkiego Października.

W początkach września ogłoszony został w Łodzi wielki konkurs pod hasłem „Wzór, dziś i jutro Polski i Kraju Rad” mający na celu zbliżenie i zapoznanie najszerszych rzesz społeczeństwa z problematyką radziecką poprzez organizację masowych, zakładowych, amatorskich placówek kulturalno-oświatowych. Impreza ta pomyślana jest zresztą bardziej, jako konkurs obywatelski niż, jako konkurs stricte sensu. Sprawia to jego masowość i brak ścisłych rygorów formalnych; organizacyjnych. Regulamin wymaga jedynie zgłoszenia uczestnictwa, złożenia programu działalności i prowadzenia kroniki, która po zakończeniu konkursu będzie podstawą do oceny i ewentualnego uzyskania nagrody. Dobór form pracy, rodzaju imprez nie jest określony regulaminem i zależy wyłącznie od inwencji i pomysłowości uczestników, według myśli przewodniej: po-

polaryzacji najszerzej pojętej wiedzy o Związku Radzieckim.

Organizatorami konkursu są: Wydział Kultury Prez. RN m. Łodzi, WKZZ, TPPR, ZMS, Spółdzielczość, LDK, „Dom Książki” i redakcja „Głosu Robotniczego”. Ich przedstawiciele tworzą komisję konkursową, we wszystkich dzielnicach powstały komisje dzielnicowe, które na swoim terenie patronują całej akcji i zajmują się stroną organizacyjną.

Do połowy października udział w konkursie zgłosiło 190 instytucji i zakładów pracy, w tym ponad 40 bibliotek. Trudno na podstawie tej liczby stwierdzić ile łódzian uczestniczyć będzie w konkursie. Może kilka, a może kilkadziesiąt tysięcy, jedno zgłoszenie może zawierać bowiem deklarację kilkuset lub więcej osób. Do komisji dzielnicowych wpłynęły już programy niektórych uczestników. Obejmują one różnego rodzaju pozycje, jak wystawy, konkursy, quizy, kiermasze książek, prelekcje, spotkania z weteranami ruchu rewolucyjnego, wieczornice literackie, widowiska, inscenizacje, konkursy piosenki radzieckiej, wycieczki do kin, teatrów, wycieczki do miejsc pamiętek (np. do Poronina) a nawet pojęcie takie, jak uporządkowanie grobów żołnierzy radzieckich. Komisje dzielnicowe będą wizytować poszczególne zespoły i imprezy, oceniać je. W końcowym efekcie wiele z nich będzie za-

żało od kroniki, staranności, i atrakcyjności jej ujęcia. I stycznia nastąpi zamknięcie konkursu, następnie podsumowanie w komisjach dzielnicowych, a w lutym — rozstrzygnięcie w skali ogólnolódzkiej. Będą i nagrody: wycieczki do ZSRR, aparaty fotograficzne, roczne abonamenty do teatru, wczasów, książki, itd. Ale w tym niecodziennym i nietypowym konkursie nie nagrody są najważniejsze. Najważniejszą będzie efektywność tej akcji, skala w jakiej uda się w środowiskach spopularyzować, upowszechnić tematykę Wielkiego Października i tych wszystkich osiągnięć, które są bezpośrednim i pośrednim jego rezultatem.

Nie ograniczani ścisłymi rygorami regulaminowymi uczestnicy konkursu będą niewątpliwie starali się o sięgnięcie do form oryginalnych i interesujących. Warto, by przy okazji nie zapomnieli o tych prostych, a pożytecznych, o tych, które przygotowały dla nich zawołane placówki kulturalne i oświatowe.

Dla uczczenia 50-lecia Rewolucji Październikowej teatry łódzkie przygotowały sztuki autorów radzieckich: Teatr im. Jaracza „Przełom”, Lawreniewa, Teatr Powszechny „Noc spowiedzi”, Teatr Nowy sięgnął do dawnych tradycji ruchu robotniczego, wystawia „Tkaacz”. Hauptmanna, sztukę która ma w Łodzi swoją tradycję. Przeszło 40 lat temu, w czasie wielkiego strajku włókniarzy, „Tkaacz” wystawiła

scena robotnicza. Z repertuaru rosyjskiego Teatr Wielki przygotowuje „Dane Piłkowską” Czajkowskiego i gra dalej „Kniazia Igora” Borodina. Operetka wznowia „Se wstąpiłowski Walec”. Od początku roku łódzkie kina układają repertuar pod hasłem „50 lat kinematografii radzieckiej”. Dni Filmu Radzieckiego zainaugurowano „Wojną i pokojem” reż. Bondarewskiego. Muzeum Ruchu Rewolucyjnego przygotowało wystawę „50 lat Rewolucji Październikowej”. Muzeum Sztuki stara się o sprawadzenie do Łodzi części warszawskiej wystawy plakatu rewolucyjnego. I tak dalej i dalej.

Z tych, jeśli tak można powiedzieć, gotowych dóbr powinni korzystać uczestnicy konkursu, wykorzystując je twórczo. A więc wspólnie oglądane przedstawienie teatralne, a następnie dyskusja, może z udziałem aktorów, może reżysera, czy scenografa. Przedmiotem dyskusji może być również film, wystawa, książka. Jeśli jednym z efektów konkursu będzie zwiększone zainteresowanie teatrem, filmem, zwiększona liczba sprzedanych i przeczytanych książek, to podniesie to jeszcze rangę konkursu, a osiągnięcia jego będą jeszcze trwalsze. A świąteczne, jubileuszowe dni stały się, wieloletniej i codziennej przyjaźni, codziennych związków między naszymi narodami, przyczynia się jeszcze do utrwalenia i pogłębienia przyjaźni.

Mistrzowie z Palecha

Broszka jest niewielka, z bajecznie kolorowym Zarpakiem, z dziewczyną w krasnej sukni; — złotymi przemieniami rozświetla się słone z rosyjskiej „skazki” — złote literki, które można przeczytać dopiero pod lupą: „Palech — 1967, F. Jelchowiak”.

Pamiętka z Palecha — można ją wszakże kupić w łódzkim sklepie „Jubiler” lub w warszawskiej „Nata-szy”. Wyroby palezańskich mistrzów wędrują po świecie — wszędzie znajdują się chętni nabywcy na malowane szkatułki, brosze i pudełeczki.

Szkatułki z malachitu — mówią jedni. To chyba laka — mówią drudzy. Węgiel — kości z czego i jak robi się te przebarwne cuda? — spytał Paweł Solonin, dzień nikarza rodem z Palecha. — Zobacysz — odpowiedział — jutro tam pojedziemy.

Szosa gładka jak stół — pędzimy na spotkanie tego miasta. Jest wrzesień, w Polsce tego roku drzewa jeszcze stoją w pełni zielonych liści. Tutaj już jesień, lasy zwarzone nocnym przymrokiem, czerwienią się i złocą orgią kolorów. Nie mogło być inaczej — to właśnie tu, wśród tych lasów, mogła się w sercach ludzi zagnieździć ta orukiwa wrażliwość na barwę i światło. Ta wrażliwość, która przed setkami lat rozświecała palezańskich malarzy ikon, a dziś rozświeca palezańską „Masterską”, w której powoli, jak na dzieło sztuki przystało, rodzi się malowane cacko.

Dzień był pochmurny — chmury wisiały nad miasteczkiem — nie było w samym mieście nic z bajki, nie było nic z uroku palezańskich sztuk. Tylko te złote lasy na horyzoncie, oświecające zewsząd drewnianą wysepkę o kamienistych uliczkach, tłumaczyły zjawisko Palecha.

Czy zresztą tłumaczyły? Lasy są tam przecież wszędzie. Ale to właśnie tu, właśnie w tym brzydkim, zaniedbanym miasteczku kilkadziesiąt lat temu rozkwitły złote ikony. Więc pozostała tradycja, pozostały stare, wypróbowane metody, własny styl.

Jest w Związku Radzieckim jeszcze kilka podobnych ośrodków ludowej artystycznej miniatury. Ale tylko tu, właśnie w tym drewnianym, szarym Palechu malunek na wierzchu puderniczki nosi znamiona prawdziwej sztuki.

Tu się nie kopiuje szablony, jak w pracowniach podmoskiewskich czy w nie dalekim Holuju. Tu każdy obrazek na szkatułce, broszce, czy pudernicze jest dziełem niepowtarzalnym. Może być podobny w kompozycji, ale artysta nada mu inne barwy, zmienia szczegóły, ornament... Nie ma dwu takich samych palezańskich miniatur.

Tradycja starych mistrzów ciągnąca się od setek lat sprawia, że artyści opracowują wciąż nowe i nowe kompozycje, wiedzą, że tylko nieustanna twórcza praca, szukaniem nowych rozwiązań i tematów zasłuży na miano artystów, na miejsce w gablocie miejscowego muzeum, na osobny pokój do pracy — na to wszystko, co nazywa się uznaniem.

Starzy palezańscy malarze ikon nigdy nie uważali się za rzemieślników — zawsze byli artystami. Icn wnuki i prawnuki wiedzą o tym — częste cytują Gorkiego, który sztukę Palecha stawiał niezwykle wysoko — wiedzą i chcą zasłużyć na miano godnych następców palezańskich tradycji artystycznej. „Z nas czerpał” — mówią — Rublow, z naszej ludowej ikonografii czerpały szkoły jarosławska, moskiewska, nowogrodzka...”

Zrozumiałe, że z taką świadomością artystycznej tradycji po prostu nie można uprawiać rzemiosła. Z taką świadomością powstawać może wyłącznie sztuka, choć by jej tłem było tylko pudełko na damskie bibeloty.

I tak właśnie jest w drewnianym, szarym Palechu. Czasem, aż żal, że tak mało maluje się tu obrazów dla obrazu, od dla zawieszania na ścianie. Ale w naszym praktycznym i racjonalnym świecie większa wartość ma przedmiot użytkowy upiękaszony obrazem niż sam obraz — samoistne dzieło sztuki.

Więc malują szkatułki, puderniczki, broszki... projektują ilustracje do książek, scenografie dla teatru... Właściwie to już przestali być ludowymi artystami. W Palechu znajduje się oddział Związku Plastyków. ZSRB, zrzeszający ok. 150 osób, jest tu średnia szkoła pla-

styczna, przygotowująca kadry dla pracowni.

Odsunięty od ulicy, szary, piętrowy gmach. Przypomina fabrykę i jest nią w pewnym sensie. Parter zajmują działy rzemieślnicze — tu wreszcie się dowiem, jak to jest z tym tworzywem — malachit, drzewo czy laka?

A jest... po prostu tektura. Zwykła beżowa tektura sklejana w kilka warstw klejem z żytniej maki. — Konieczne z żytniej maki — mówi Paweł Solonin — inaczej nie nasiakłaby równomiernie oliwą olejem.

Te sklejone już i uformowane w odpowiednie kształty pudełka wrzuca się do obrobionej wanny z olejem. Po kilku dniach przesycone tłuszczem, kąpiące złotymi kroplami, wstawia się do pieca. Tam w temperaturze 150 st. olej spieka się z tekturą — po 12 dniach wyjmujemy się twarde jak kość, dające przy uderzeniu dźwięczny ton półfabrykaty. To już nie tektura — to już zupełnie inny materiał.

Do ostatecznej obróbki używa się tokarek i pudełkom nadaje się kształty wiejskich i miejskich szkatulek — na papierosy, drobiazgi, pierścionki, do pudru i do dekoracji.

Potem jeszcze lakier — raz, drugi i trzeci — za każdym razem suszenie w piecu. I na tym koniec parterowej rzemieślniczej obróbki. Teraz gotowa lecz bezbarwna szkatułka wędruje na piętro.

Niewielkie widne pokójki — pod oknami stoły. W jednym pomieszczeniu pracują po kilku artystów. Na gładką, błyszczącą powierzchnię czarnego lakieru sygnalizację się szczypte talku — rozciera palcem aż płytka zmatowieje. Wówczas tępy rylcem (by nie skaleczyć lakieru) artysta rysuje swoją kompozycję.

Są to sceny z rosyjskich bajek, pieśni ludowych, legend, sporo tu malarskich wizji, których inspiracją były puszkińskie strofy. W muzeum oglądałem wielkie budowle i ostatniej wojny, ale w kolorowym szafarzu wypadły one... błado. Tak to już jest. Łowicka wycinanka również nie znoś stał spódnicyelnych traktów.

Teraz ta „sieriozna” tematykę z lat pięćdziesiątych traktuje się w Palechu jako etap — zostawia się jej gablotę w muzeum, lecz nie kontynuuje. I słusznie. Ten piękny kolorowy świat na czarnym lakierze może po-

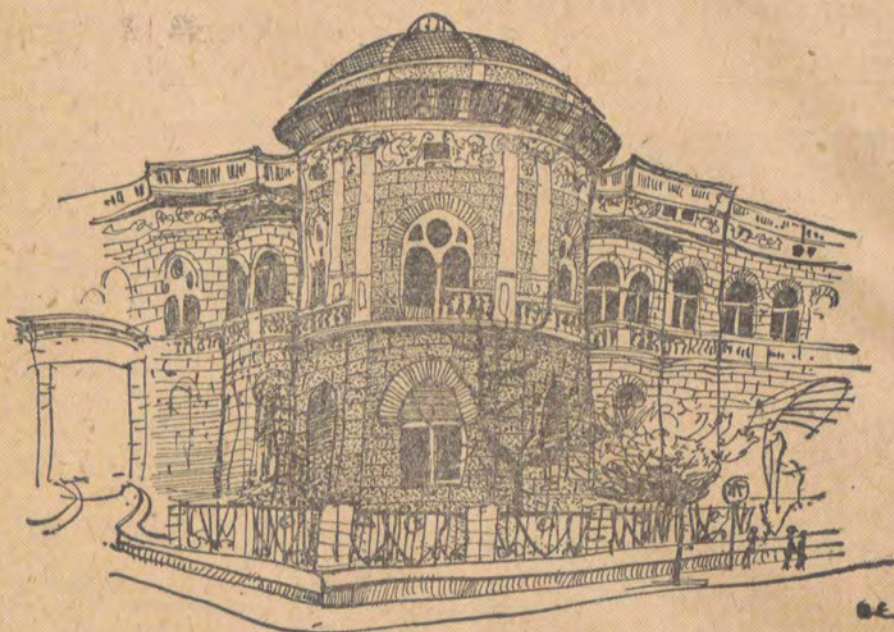
cać przez parę dni do rodzinnych pieleszy. Dziś musiałby chodzić całą noc po ulicach.

Z artykułu J. P. Gawiłki w „Życiu Literackim” dowiedziałem się, że nie ma przepisu zabraniającego przyjmować do jednego pokoju hotelowego dwie osoby różnej płci, różnego nazwiska i nie ma przepisu zabraniającego przyjmować osoby, zamieszkujące stale w tym samym mieście. Jest tylko taka praktyka, zadziwiająca jednomyślnie w całej Rzeczypospolitej i zupełnie różna od praktyki w całej reszcie świata. Praktyka dżenna, pruderyjna, przypominająca jezuickie państwo w Południowej Ameryce, w którym nawet małżonkowie nie mogą być w jednym pokoju. Praktyka głębokiego ingerowania dyktacji państwowych zakładów usługowych w osobiste życie moje, twoje i nasze.

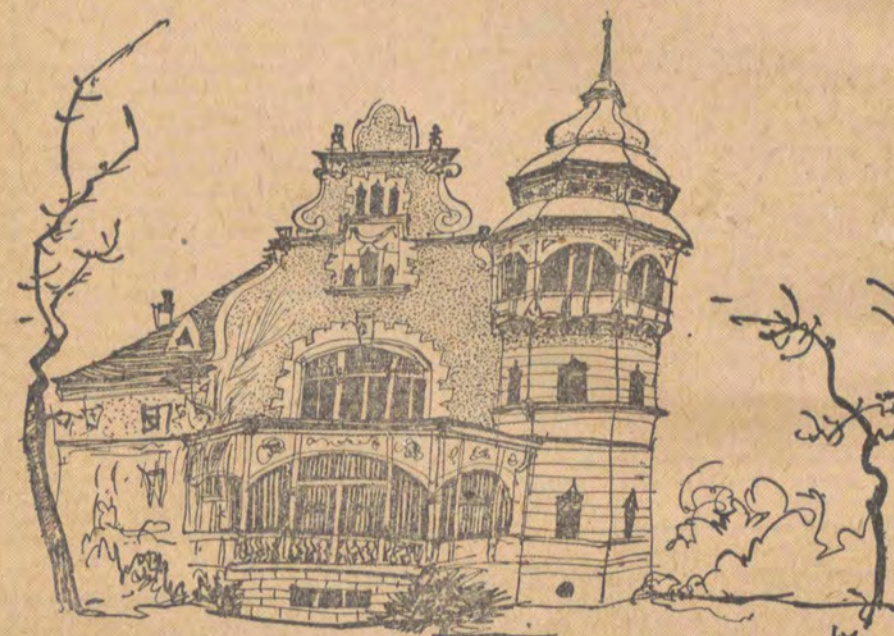
Nieprzyjmowanie osób, mieszkających stale w tym samym mieście, można wytłumaczyć brakiem hoteli i koniecznością dania pierwszeństwa przyjeźdnym, którzy rzeczywiście są w trudniejszej sytuacji. Argument ten słabnie w odniesieniu do podróżujących razem par, których wzajemny stosunek nikogo nie obchodzi. Oboje muszą gdzieś przenoćować. Po co mężczyźnie dawać dwuosobowy lub większy pokój, kobiecie — drugi taki sam pokój, kiedy oboje zgodzą się i chcą mieszkać razem? Po co zmuszać ich do niesmacznych wybiegów, poniżających próśb lub — najczęściej — równie poniżających „załączników”? Nie przypuszcza się chyba, że zmiana tego hotelowego obyczaju spowoduje gwałtowny wzrost liczby ludzi podróżujących i wielokrotni nacisk na przeładunek i bez tego niole?

Od dawna pojawiały się w prasie głosy, że gdyby tak pracownikom, delegowanym służbowo, podnieść obowiązujący obecnie ryczałt 8 zł za nocleg bezrachunkowy, czyli gdzieś u znajomych,

Łódzka secesja



Pałac Poznańskich. Obecnie Wyższa Szkoła Muzyczna



Pałac Richtera przy ul. Worcella

Rys. W. Kondak

mieścić tylko bajkę, pieśń, ludową legendę...

Taki właśnie świat wyczerpuje dziś na czarnym tle lakieru. Soczyste barwy gwaszu preparowanego przy użyciu kurzego żółtka, pokrywa się w końcu warstwą bezbarwnego lakieru i dopiero na nim kładzie złoty ornament, promienie słońca, bliski światła w drzewach — rozświecające te maleńkie dzieła sztuki. „Złota nie można przykryć lakierem — mówią — zgasiłby jego blask.” Wystarczy zresztą

lekko potrząść palezańskie malowidło, aby zobaczyć na palcu smugę złotego pyłu.

Wychodząc z piętrowego budynku „Masterskiej” — parę kroków w prawo królujemy na wzgórku 200-letnia cerkiew, w której ikonostas — ściana oddzielająca głów na nawę od ołtarza — zaludniony jest setkami świętych na ponad 40 ikonach. Pamiętka przeszłości — dowód kunsztu starych palezańskich mistrzów. Dziś — muzeum, gdzie prowadzi się przybysza, aby uświadomił sobie ciągłość artystycznej

tradycji tego drewnianego miasteczka.

Kiedy „Wołga” miała ostatnie domy Palecha, przez chmury przedziiera się słońce. Lasy na horyzoncie zdają się płonąć. Czerwono-złote liście, jakby zbiegły z palezańskich puderek — złoty pył przysypał drzewa, cały horyzont z lewa i z prawa migocze w podmuchach wiatru. A potem słońce gaśnie i znów jesteśmy na szarym asfalcie autostrady. Szare miasto kolorowych bajek pozostało za nami.



Lewym okiem

CZY TA PANI JUŻ WYSZŁA?

W pewnym wielkim i ruchliwym mieście, uczęszczanym tłumnie przez przybyszów z kraju i zagranicy, w pewnym wielkim hotelu pierwszej kategorii zadzwonił do mnie portier z recepcji. Było więc minut po godzinie dwudziestej drugiej. — Tam do pana przyszła jedna pani, — czy już poszła?

Zanim zdążyłem sobie zdać sprawę z charakteru tego pytania, odpowiedziałem niepotrzebnie, zresztą zgodnie z prawdą, że poszła już godzinę temu. — To dobrze — powiedział uspokojony stróż moralności i odłożył słuchawkę. Nie zdążyłem na szczęście powiedzieć, że pani była z pi-nem, swoim meblem, że przyszli nie do mnie, tylko do mojego nieznanego mi współlokatora i że zaraz wszyscy troje razem wyszli. Portier miał jednak tylko meldunek o pani, której wizyta byłaby przecież horrendalnym dowodem rozpusty starszego pana, czyli mojej. Kiedy idę do restauracji, nikt mnie nie pyta, czy nie mam obiadu w domu. W hotelu jednak nie mogę przenoćować, jeśli się okaże, że mam nocleg w domu, w tym samym mieście. Tylko w starych powieściach maż po kłótni z żoną mógł nie wra-

na przykład do 30 czy 50 złotych, to wielu byłoby takich, którzy by z hotelu uciekali nie chcąc korzystać. Zwolniliby się jakoś ilość miejsc dla tych, którzy w danym mieście krewnych ani znajomych nie mają. Projekt był słuszny. Zarządzenie ogłoszone na okres próbny, który objął Targi krajowe w Poznaniu. Zadane pióro nie opisywało się działu. Setki osób miejscowych, wynajmujących własne pokoje za pośrednictwem dawno i świetnie zorganizowanego biura kwaterekowego, wycofało swe oferty z Biura, szukając pości na własną rękę. Dolaczyli się do nich nowe setki, których mieszkania nie były sprawdzane przez żadne komisje, nie odpowiadały żadnym warunkom, nie zapewniały żadnego wypoczynku. „Zarabiam co noc na łóżku trzydzieści złotych” — mówiły filuternie niektóre przyjezdne panie z przemysłu i handlu. — „Dopłacam co noc czterdzieści złotych” — mówili wysocy urzędnicy, którzy zdecydowali się na hotele. Zresztą niecierpi. W hotelach zamieszkałi zamiast wysokich urzędników — przedstawiciele prywatnej inicjatywy i spółdzielni, którym uchwała rady może coś dorzucić do urzędowych diet. A wszystko to zamieszaniu wielkim, bałaganie, podenerwowaniu.

W tym samym czasie w innych miastach hotele stały puste, co nie przeszkadza, że okres próbny może jeszcze zostać przedłużony. Zamiast więc rozbudowy bazy hotelowej przewiduje bujny rozkwit noclegownia pokątnego. A w takiej przytulnej prywatce nikt już nie będzie pytał, skąd przychodzi i kto jest ta pani. W ogóle nareszcie nikt o nie nie będzie pytał. I w ten sposób osiągniemy nowoczesny poziom obyczajowości, obniżając co nieco standard wymagań, co do kultury wypoczynku.

CWIEK.